12 stron

Cena 8 zł.

# ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 26 maja 1946 r. | Nr 21 (78)

M. KOGAN

# Przemysł naftowy Stanów Zjednoczonych w drugiej wojnie światowej

I

Stany Zjednoczone zajmują pierwsze miejsce w świecie, jeśli chodzi o eksploatację, przeróbkę i konsumcję nafty. Przemysł naftowy jest jedną z najważniejszych gałęzi gospodarki narodowej Stanów Zjednoczonych i wywiera duży wpływ na ekonomiczne i polityczne życie kraju.

Rola nafty wzrasta niepomiernie w czasie wojny. Szczególnie ważne znaczenie miała już w pierwszej wojnie światowej. Wzrosło ono jeszcze bardziej w latach drugiej wojny światowej, ponieważ armia nasycona do ostatnich granic techniką zgłaszała niebywałe dotąd w historii wojen zapotrzebowanie na wszelkiego rodzaju przetwory nafty.

Wpływ wojny na różne gałęzie przemysłu naftowego w Stanach Zjednoczonych zaznaczał się rozmaicie. Szczególnie wyraźne zmiany zaszły w przemyśle rafineryjnym.

Przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny amerykański przemysł naftowy rozporządzał wszystkimi materialnymi środkami niezbędnymi do zaspokojenia potrzeb wojny. Odkryte złoża ropy i ich eksploatacja były wtedy na bardzo wysokim poziomie, nie mówiąc o poważnych zapasach nafty nagromadzonych w zbiornikach. Przetwórczy przemysł naftowy — silnie skoncentrowana gałąź produkcji wyposażona w najnowocześniejsze urządzenia techniczne i odznaczająca się największą w świecie wydajnością — nie wyzyskał jednak w pełni swoich możliwości. Bo jak się okazało po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny, przemysł rafineryjny nie zdołał zaspokoić potrzeb wojny i dostarczyć takich ważnych przetworów jak np.: stooktanowej benzyny lotniczej, toluolu, niezbędnego dla produkcji materiałów wybuchowych i butadionu dla produkcji syntetycznego kauczuku. Jakkolwiek do wybuchu wojny Stany Zjednoczone miały do swojej dyspozycji najbardziej rozbudowaną sieć rurociągów, dużą ilość tankowców i wagonów-cystern, problem przewozu nafty w czasie wojny okazał się sprawą nader skomplikowaną.

Przemysł naftowy przestawiono stosunkowo szybko na produkcję wojenną. Sprzyjały temu w dużej mierze: wysoko skoncentrowana wytwórczość, najnowsze osiągnięcia w technologii eksploatacji i przetwórczości nafty, wreszcie wiele poważnych prac, jakie przeprowadzono w dziedzinie badań naukowych.

Dużą rolę w przestawieniu tego przemysłu na tory wojenne odegrała interwencja państwa. Wkroczenie państwa było nieuniknione i celowe i jest rzeczą wątpliwą czy bez jego udziału przemysł naftowy i organizacja transportu zdołałyby tak szybko i sprawnie przystosować się do potrzeb wojny. Równocześnie interwencja państwa w kopalnictwie nafty zahamowała rozwój tak ważnej jego gałęzi jak wiertnictwo.

Udział państwa w dziedzinie życia ekonomicznego kraju i częściowo w dziedzinie przemysłu naftowego nie jest czymś nowym w Stanach Zjednoczonych, tylko że w okresie drugiej wojny światowej przybiera on zupełnie nowe formy, staje się głębszy i bardziej wszechstronny. Po raz pierwszy w takim stopniu państwo narzuca swoją kontrolę wszystkim gałęziom przemysłu naftowego.

Rok przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny był pod względem eksploatacji nafty rokiem rekordowym w porównaniu z latami przedwojennymi. W roku 1932 natężenie wydobycia nafty nieznacznie się osłabiło, aby potem znów przybrać na sile.

**Eksploatacja nafty w Stanach Zjednoczonych**
(w milionach beczułek*)

| | | | |
|---|---|---|---|
| 1937 rok . . | 1277 | 1941 rok . . | 1484 |
| 1938 „ . . | 1213 | 1942 „ . . | 1385 |
| 1939 „ . . | 1264 | 1943 „ . . | 1503 |
| 1940 „ . . | 1351 | 1944 „ . . | 1678 |

W 1943 r., a potem w 1944 eksploatacja nafty wzrosła i doszła do przedwojennego poziomu, przekraczając go już w pierwszej połowie 1945 roku. Wydobycie ropy naftowej za pierwszą połowę 1944 roku wykazuje 813 500 tys. beczułek, a za pierwszą połowę 1945 r. około 870 milionów beczułek, tzn. o 7% więcej niż w 1944 r.

*) Pojemność 120 l.

Wręcz odmiennie przedstawia się sprawa wiertnictwa. W 1941 r. wywiercono największą ilość szybów (jeśli nie brać pod uwagę 1920 r.). W pierwszym roku wojny, a zaznacza się to coraz silniej w każdym następnym, wiertnictwo wyraźnie upada.

**Wiercenie nowych szybów**

| | | | |
|---|---|---|---|
| 1920 r. . . | 33 911 | 1941 r. . . | 32 053 |
| 1937 „ . . | 31 106 | 1942 „ . . | 21 412 |
| 1938 „ . . | 27 149 | 1943 „ . . | 17 884 |
| 1939 „ . . | 27 161 | 1944 „ . . | 24 154 |
| 1940 „ . . | 30 041 | | |

W 1944 r. wiercenie nowych szybów przybiera na sile, ale i tak daleko mu jeszcze do stanu przedwojennego.

Konieczne byłoby podkreślić, że to obniżenie wiertnictwa nie wpłynęło jednak bezpośrednio na ilość wydobywanej nafty. Jeśli tak było, to efekt ten uzyskano kosztem rabunkowej i forsownej eksploatacji zagłębi naftowych, co w przyszłości zagraża zmniejszeniu wydajności szybów.

Wiertnictwo jest podstawą przemysłu naftowego. Podczas pierwszej wojny światowej wzrost eksploatacji nafty szedł w parze z równoczesnym nasileniem wiertnictwa. Upadek wiertnictwa w latach drugiej wojny światowej jest zjawiskiem zupełnie nowym. Na to widoczne obniżenie poziomu wiertnictwa wpłynął niewątpliwie brak rąk roboczych, materiałów i odpowiednich urządzeń technicznych. Nie w tym jednak leży główna przyczyna, o czym świadczy fakt, że wiercenia eksploatacyjne prowadzone w o wiele korzystniejszych warunkach przez przedsiębiorstwa państwowe, rozporządzające dogodniejszymi urządzeniami technicznymi i środkami materialnymi, były na znacznie niższym poziomie niż to planowała „administracja do spraw nafty".

W 1943 r. było przewidzianych w planie 4500 szybów eksploracyjnych, wywiercono jednak tylko 3500, w 1944 r. miano ich wywiercić 5000, wywiercono tylko 3800.

Największy wpływ na zasięg wiertnictwa miały pewne zarządzenia regulujące, jakie w tym kierunku wydało państwo. Już w pierwszym miesiącu po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny szef „administracji do spraw nafty", Ickes, wydał rozporządzenie, na którego mocy ustanowiono określony system normujący sprawę rozmieszczania nowopowstających szybów.

Zagadnienie bardziej racjonalnego rozmieszczania szybów naftowych nie jest czymś nowym. W stanach eksploatujących naftę jeszcze przed wojną obowiązywały prawa ustalające rozmieszczanie szybów według pewnych minimalnych, przepisami określonych odległości. Zarządzenie takie wywołała konieczność bardziej oszczędnej eksploatacji złóż naftowych. Własność prywatna utrudniała wprowadzenie w życie tego prawa — drobni i średni właściciele i dzierżawcy terenów naftowych starali się na swoich działkach wywiercić możliwie jak najwięcej szybów, aby wyciągnąć maksimum nafty kosztem właścicieli działek sąsiednich — (jest to tak zwane „podbieranie").

Rozporządzenie to, zdaniem Ickesa, szefa „administracji do spraw nafty", było spowodowane koniecznością oszczędzania materiałów i urządzeń technicznych, jak również koniecznością ożywienia badań i eksploatacji terenów naftowych w częściach kraju dotychczas nie badanych.

Przed wojną w Stanach Zjednoczonych w przeciwieństwie do innych krajów kapitalistycznych prawie połowa wydobywanej nafty i wielka część szybów była w rękach drobnych i średnich przedsiębiorców czy towarzystw zwanych „niezależnymi". Fermerzy posiadający naftowe działki na roponośnych terenach wiercili prymitywne szyby i pompowali naftę w chwilach wolnych od zajęć gospodarskich na roli. Zarządzenie wydane przez „administrację do spraw nafty" o nowym systemie rozmieszczania szybów pozbawiało drobnych i średnich przedsiębiorców prawa wiercenia nowych szybów na ich działkach naftowych, przez co uniemożliwiało rozwój wiertnictwa zwłaszcza w pierwszym roku wojny. Dlatego jeszcze w tym samym roku „administracja do spraw nafty" była zmuszona złagodzić zarządzenie ograniczające wiertnictwo, by je znów ożywić, zwłaszcza na terenach ważnych z punktu widzenia eksploatacji nafty — np. w Kalifornii.

Największy wpływ na rozmiary wiertnictwa miało wprowadzenie przez państwo cen sztywnych na ropę naftową. Po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny cena ustalona na ropę odpowiadała mniej więcej przeciętnej z marca 1942 r. Była to zresztą najwyższa cena w porównaniu z cenami z lat ubiegłych. Jednakże zwiększyły się też wydatki związane z eksploatacją nafty. Ponieważ do „niezależnych" należały najmniej produktywne szyby, cena ustanowiona przez państwo nie gwarantowała im dochodu w takiej wysokości, która by mogła zachęcić ich do dalszego wkładu kapitału w eksploatacyjny przemysł naftowy. I tak „niezależni" zaczęli powoli opuszczać tę gałąź przemysłu wskutek jej nierentowności. Sprawę tę niejednokrotnie poruszano na posiedzeniach amerykańskiego kongresu. W 1943 r. członek kongresu, O'Conner, na jednym z posiedzeń izby deputowanych podał do wiadomości, że „przed wojną „niezależni" wydobywali 52% całej nafty, podczas gdy 48% wydobycia realizowały wielkie kompanie naftowe. W obecnej sytuacji potężne monopole, które skupują kopalnie będące dotychczas w posiadaniu „niezależnych" drobnych przedsiębiorców, zaczęły wydobywać 78%, podczas gdy „niezależni" tylko 22%".

Z ucieczką „niezależnych" wzrosło równocześnie znaczenie wielkich monopoli przemysłu eksploatacyjnego. Cena ustalona przez państwo w szczególnych warunkach, jakie wytworzyły się w związku z zapotrzebowaniami wojennymi, zapewniała wielkim kompaniom naftowym jeszcze większe zyski od tych, jakie osiągały w latach przedwojennych. Czysty dochód 26 kompanii branży naftowo-eksploatacyjnej w r. 1943 był o 29,4% wyższy niż w r. 1942.

W latach wojny wielkie kompanie naftowe zaczęły masowo nabywać tereny naftowe. Gazeta „World Petroleum", podsumowując wyniki finansowej gospodarki głównych kompanii naftowych za lata wojny, wykazała, że kompanie te zakupiły znaczną ilość terenów naftowych. Do kompanii tych należą: Standard Oil of New-Jersey, Atlantic Refining, Gulf Oil Shell, Oil Sinclair itd. Należy przy tym zaznaczyć, że większe roponośne tereny nabyły te kompanie, które przed wojną zajmowały się tylko przeróbką ropy i sprzedażą nafty, jak np. Standard of Ohio. Gazeta „World Petroleum" pisze, że kompania ta rozwinęła żywą działalność w nabywaniu własności ziemskich.

Zarządzenia wydane przez państwo przyspieszyły proces dalszego monopolizowania przemysłu eksploatacyjnego. Świadczą o tym następujące dane: w 1937 r. po stronie wielkich kompanii naftowych figuruje 52,5%, w r. 1942 — 53,8%, a w r. 1944 — 57,6% ogółem wydobytej w kraju nafty. Reszta była w rękach „niezależnych" przemysłowców.

W ten sposób wprowadzenie cen sztywnych przez państwo miało decydujący wpływ na rozbudowę wiertnictwa i wzmogło znaczenie monopoli w eksploatacyjnym przemyśle naftowym Stanów Zjednoczonych.

W czasie wojny zarysowało się znów z całą wyrazistością dawne zagadnienie „wyczerpania" złóż ropy naftowej w Stanach Zjednoczonych. Przekonanie, że złoża ropy, przy istniejącym poziomie eksploatacji, mogą jakoby wystarczyć tylko na okres lat 14, przyjęło się ogólnie w całym kraju. Sprawa złóż ropy stała się znowu tematem obrad kongresu, a dzienniki poświęcały całe szpalty zagadnieniu „wyczerpania" zapasów. Przedstawicielem poglądu o wyczerpaniu złóż ropy był Ickes. W książce swojej pt. „Nafta walczy" pisze:

## MALARSTWO POLSKIE

ALEKSANDER KOTSIS (1837—1877) Studium Włoszki

„U nas w Stanach Zjednoczonych zdaliśmy sobie dokładnie sprawę z potencjału naszych zapasów nafty. Nie można zaprzeczyć, że istnieje możliwość, a nawet prawdopodobieństwo, że Stany Zjednoczone utracą w przyszłości pozycję największego w świecie producenta"..., że „wielkie odkrycia źródeł nafty należą już do przeszłości"..., że „począwszy od 1933 r. odkrywanie nowych złóż ropy nie nadąża za wzrostem eksploatacji nafty i zapotrzebowania na nią i nie daje gwarancji stworzenia niezbędnych zapasów. W dniu 1 stycznia 1943 r. odkryte złoża nafty stanowiły około 20 miliardów beczułek. Biorąc pod uwagę zapotrzebowanie z 1942 r., zapasy te mogą nam wystarczyć na okres 14 lat".

Dużo pisano w prasie nie tylko o „wyczerpaniu" złóż ropy, ale i o tym, że sytuacja ich znacznie się pogorszyła, ponieważ w latach wojny Stany Zjednoczone zaspokajały w 80 % głód nafty narodów sprzymierzonych.

Zagadnienie wyczerpania złóż nie jest obce historii amerykańskiego przemysłu naftowego; już w latach po pierwszej wojnie światowej uderzono na alarm z powodu „wyczerpania" zapasów nafty. Jednak po pierwszej wojnie, w miarę jak wzrastała eksploatacja ropy, odkrywano coraz to nowe zagłębia nafty. Odkryte obecnie złoża naftowe są na tak wysokim poziomie, na jakim nie były nigdy przedtem: wykazują one więcej niż 20 miliardów beczułek.

**Odkryte złoża i eksploatacja nafty**
(w milionach beczułek)

| Lata | Odkryte złoża | Eksploatacja |
|---|---|---|
| 1937 | 15507 | 1277 |
| 1938 | 17348 | 1213 |
| 1939 | 18483 | 1264 |
| 1940 | 19024 | 1351 |
| 1941 | 19589 | 1484 |
| 1942 | 20082 | 1385 |
| 1943 | 20064 | 1503 |
| 1944 | 20453 | 1678 |

Przekonanie, że Stany Zjednoczone dysponują niewyczerpanymi rezerwami nafty byłoby z gruntu mylne i nie można nie brać pod uwagę okoliczności, że eksploatacja nafty w tym kraju odbywała się bardzo intensywnie. Jednak Stany Zjednoczone rozporządzają zbyt jeszcze dużym bogactwem terenów naftonośnych, aby można mówić o zupełnym wyczerpaniu złóż — trzeba tylko rozpocząć intensywne prace eksploracyjne olbrzymich, do dziś niebadanych obszarów. Na posiedzeniu amerykańskiego towarzystwa chemicznego, odbytym w kwietniu 1943 r., niektórzy mówcy słusznie podkreślali, że poszukiwanie i odkrycie nowych źródeł nafty — to kwestia rozbudowy eksploracyjnego wiertnictwa. Z końcem 1943 r. w angielskim czasopiśmie „Petroleum Times" ukazał się wielki artykuł podający ocenę złóż nafty, jaką przedstawił na posiedzeniu amerykańskiego towarzystwa chemicznego w Pittsburgu doktor Frolish. Obliczył on, że „46 miliardów beczułek nafty odkrytej w Stanach Zjednoczonych, z której połowę już skonsumowano, stanowi 50 % nafty znajdującej się wewnątrz kraju. Stany Zjednoczone są w posiadaniu około 100 miliardów beczułek nafty na 600 miliardów ogólnej ilości nafty, jaka przypada na całą kulę ziemską".

Tę nową z kolei kampanię, wywołaną obawą przed wyczerpaniem złóż Stanów Zjednoczonych, można przede wszystkim uważać za zapoczątkowanie przez amerykańskie trusty walki o nowe źródła nafty. Lenin powiedział: „im bardziej rozwija się kapitalizm, im dotkliwiej daje się odczuwać brak surowców, im silniejsze formy przybiera konkurencja i silniej wzmaga się w całym świecie pogoń za zdobyciem źródeł surowców, tym rozpaczliwsza staje się walka o kolonie".

Ta pogoń za zdobyciem źródeł nafty wyraźnie daje się zaobserwować w latach wojny i nabiera szczególnego znaczenia. Nafta stała się niezbędnym surowcem dla wytwórczości wielu nowych produktów organiczno-syntetycznych, nie mówiąc już o produkcji szeregu wytworów o znaczeniu wojennym.

W chwili obecnej nowym zagadnieniem dla polityki Stanów Zjednoczonych staje się bezpośredni udział organizacyj państwowych w odkrywaniu nowych źródeł nafty. Państwo już wcześniej pomagało amerykańskim kompaniom naftowym w ich działalności za granicą. Ale pomoc ta ograniczała się głównie do sfery czysto dyplomatycznej. Za pośrednictwem państwowej organizacji „Petroleum Reserve Corporation" państwo rozwija ożywioną działalność. Organizacja ta ma za zadanie, jak informuje sprawozdanie z komisji Trumana: „poszukiwanie nowych źródeł nafty poza granicami Stanów Zjednoczonych, stworzenie zapasów, dostawę, przeróbkę i sprzedaż nafty i jej przetworów". Nie zważając na jawne niezadowolenie z nowego stanu rzeczy poszczególnych wielkich monopoli naftowych, państwowe organizacje przeprowadzają swoją politykę bezpośredniego udziału w sprawach dotyczących nafty za granicą. Świadczą o tym dwie ostatnie konferencje, z których jedna odbyła się w Stanach Zjednoczonych w sierpniu 1944 r., druga w Anglii we wrześniu 1945 r. przy współudziale przedstawicieli rządów Anglii i Stanów Zjednoczonych.

Uwagę państwowego towarzystwa „Petroleum Reserve" przykuwa teraz Bliski Wschód. W lutym 1944 r. podano oficjalnie do wiadomości, że „Petroleum Reserve Corporation" zamierza zacząć budowę wielkiego transarabskiego rurociągu. To oświadczenie wywołało zaniepokojenie wśród zainteresowanych kół angielskich, bo, jak wiadomo, dominującą rolę w wydobywaniu nafty na Bliskim Wschodzie odgrywa Anglia. Budowa naftociągu w saidowskiej Arabii świadczy o dalszym przenikaniu i umacnianiu pozycji amerykańskiego kapitału na Bliskim Wschodzie, co musi w końcu doprowadzić do wzmożonej rywalizacji z angielskimi monopolami. Anglia, nie mająca zagłębi naftowych wewnątrz kraju, jest bardziej niż Stany Zjednoczone zainteresowana naftą Bliskiego Wschodu, którego znaczenie nie ogranicza się tylko do bogactwa złóż naftowych — jest on również ważnym punktem strategicznym na światowych szlakach komunikacyjnych.

## II

W czasie wojny zaszły głębokie zmiany w przetwórczym przemyśle naftowym Stanów Zjednoczonych. Wywołała je wojna zmotoryzowana, którą cechuje wielkie zapotrzebowanie na stooktanową benzynę lotniczą, butadion (dla produkcji syntetycznego kauczuku) i toluol.

Dotychczasowa wydajność rafinerii nafty, nawet w wypadku ich przebudowy, nie sprostałaby w pełni zapotrzebowaniom okresu wojennego. To pociągało za sobą konieczność stworzenia wielu nowych urządzeń i zakładów przetwórczych zbudowanych na zasadzie nowoczesnych metod i procesów. Najważniejsze z punktu widzenia dalszego rozwoju przemysłu rafineryjnego było szerokie zastosowanie metody katalitycznego krakingu w procesie przeróbki nafty. Pierwsza wojna światowa przyspieszyła wprowadzenie do przemysłu rafineryjnego metody krakingu termicznego, druga przyczyniła się do rozpowszechnienia krakingu katalitycznego. Pierwsze rafinerie nafty skonstruowane na zasadzie katalitycznego krakingu powstały w r. 1936. W 1941 r. liczymy ich 14, a w połowie 1944 r. już 63. Zastosowanie tej metody w procesie produkcji w latach wojny szło w parze z udoskonaleniem tego sposobu w przeróbce nafty.

Jeszcze przed wojną metody chemiczne zaczęły przenikać do przetwórczego przemysłu naftowego. Wojna proces ten przyspieszyła. Przemysł rafineryjny stał się w ten sposób jedną z gałęzi przemysłu chemicznego. Powstałe w czasie wojny rafinerie nafty przedstawiają się jak olbrzymie zakłady chemiczne. Tylko dzięki zastosowaniu chemii w procesie przeróbki nafty udało się rozwinąć masową wytwórczość takich ważnych dla celów wojny produktów, jak stooktanowa benzyna lotnicza, toluol czy butadion. Wielu badaczy tego zagadnienia słusznie zauważyło, że trudno byłoby dziś powiedzieć, gdzie kończy się przemysł naftowy, a gdzie zaczyna chemiczny. Zastosowanie metod chemicznych w przeróbce nafty to jedna strona rozwoju przemysłu naftowego. Druga, to fakt, że przemysł naftowy sam stał się źródłem produkcji wielu nowych wytworów powstających drogą chemicznej syntezy. Z gazów, jakie otrzymujemy przy przeróbce nafty i z gazów naturalnych powstają rozmaite związki chemiczne. Nafta stała się źródłem surowców potrzebnych dla wytwórczości wielu mających olbrzymie znaczenie produktów, a otrzymywanych dotąd ze smoły węgielnej, jak: toluol, syntetyczny kauczuk, masy plastyczne, izolatory, preparaty lecznicze, barwiki, różnego gatunku benzyny, gliceryna i wiele innych. Mimo woli przypominają się słowa największego rosyjskiego uczonego Mendelejewa: „Nafta to nie paliwo — palić można asygnatami". W 1944 r. wytwórczość produktów organiczno-chemicznych w Stanach Zjednoczonych doszła do 7 milionów ton, co prawie 2,3 razy przewyższa ich produkcję z roku 1940. Pierwsze miejsce wśród nich zajmują te związki, w których podstawowym surowcem były produkty pochodzące z przeróbki nafty i gazów naturalnych. Wytwórczość produktów chemicznych oparta na nafcie wynosiła w 1944 r. 5 milionów ton wobec 2,1 milionów ton w r. 1940. Należy przy tym nadmienić, że liczba ta nie obejmuje benzyny lotniczej i toluolu. Równocześnie przemysł rafineryjny zaczął w latach wojny produkować w wielkich ilościach wysokooktanową benzynę lotniczą i toluol.

Masowa wytwórczość wojennych produktów rozwinęła się po pierwsze, dzięki przebudowie istniejących już przed wojną rafinerii nafty i zwiększeniu ich wydajności przemysłowej, po drugie, dzięki wzmożonemu ruchowi budowlanemu. Wszystko to sprzyjało dalszej koncentracji przemysłu i kapitału, a co za tym idzie, wzmocnieniu pozycji monopoli w przemyśle rafineryjnym. Przemysł ten przed wojną był w zasadzie pod kontrolą wielkich koncernów naftowych. W 1938 r. podlegało im 75,6% przemysłowego potencjału naftowo-przetwórczych przedsiębiorstw. W czasie wojny znaczenie wielkich monopoli naftowych jeszcze bardziej wzrosło. W 1943 r. największe kompanie naftowe przetworzyły w swoich zakładach 81,6% ogółem wydobytej w kraju nafty. Interwencja państwa wywołana koniecznością jak najszybszego przystosowania przemysłu rafineryjnego do potrzeb wojny przyspieszyła proces koncentracji i monopolizacji tej gałęzi przemysłu. Państwo, po raz pierwszy od czasu istnienia przemysłu naftowego, włożyło swój kapitał w tę gałąź przemysłu. Jednocześnie zapewniało ono przedsiębiorstwom zbyt, po cenach dla nich dogodnych, wypuszczonej produkcji. W końcu, wzmocnieniu pozycji monopoli w przemyśle rafineryjnym sprzyjała ta okoliczność, że na interwencję Ickesa ministerstwo sprawiedliwości wydało rozporządzenie, na którego mocy „kolektywna" (tzn. kartelowa) działalność monopoli, pracujących na cele wojenne, nie podlega „antytrustowemu prawu".

Mimo zwiększenia podatków, wzrostu wydatków produkcyjnych i transportowych, mimo wprowadzenia cen sztywnych i czasowej utraty przez niektóre monopole ich przedsiębiorstw i rafinerii naftowych znajdujących się poza granicami Stanów Zjednoczonych, dochody monopoli naftowych, nawet w pierwszych dwu latach wojny, kiedy powstawało nowe od podstaw budownictwo, były wysokie. Zyski te zwiększyły się jeszcze, gdy dla celów eksploatacji oddano nowopowstałe fabryki i zakłady. Ogólny zysk większych kompanii naftowych wynosił w r. 1943 — 510 mil. dolarów, co daje sumę o 26,2% większą niż w r. 1942, a przeciętnie o 32,8% wyższą niż ta, jaką wymienione koncerny osiągały w przeciągu 10 lat — od 1934 do 1943 r. Dochody kompanii naftowych powiększyły się jeszcze w 1944 r. I tak np. największa kompania naftowa Standard Oil of New Jersey w 1941 roku obliczała swoje zyski na sumę ponad 140 mil. dolarów, a w roku 1944 — 155 mil. dolarów. Kompania Standard of California w 1941 r. miała 33 mil. dolarów dochodu, w r. 1944 — 43 mil. dolarów. Dochody zresztą wszystkich wielkich koncernów znacznie się zwiększyły w porównaniu z latami przedwojennymi.

Poszerzenie i przebudowa istniejących już przed wojną zakładów naftowych, budowa nowych i olbrzymie dochody w latach wojny, wszystko to umocniło poważnie pozycję monopoli naftowych w przemyśle rafineryjnym.

**JERZY POMIANOWSKI**

## Elegia zaplecza

Oto miasto-amfiteatr mojej klęski,
kaskadami zbiegające z gołych zboczy.
Tu mnie depcze, tu tratuje czas zwycięski
tępym rytmem, drętwym truchłem dni i nocy.

Darmo czekam. Nikt mnie tutaj po imieniu
nie zawoła niespodzianie twoim głosem.
Darmo szukam. Nic nie może mi zamienić
woni wiatru znajomego, śpiewu sosen,

gorzkiej wiosny, zapomnianych lat piętnastu,
żwiru alej łazienkowskich i topoli,
twoich rąk i dawnych ulic mego miasta,
w którym teraz — przerażenie i niewola.

A tu — cicho i bezpiecznie i pogodnie,
pracowicie i spokojnie. Ale w ciszy
głuchy werbel biuletynów, tętent wojny,
bomb wybuchy i gasnący głos twój słyszę.

Z jakim czołem spojrzę w oczy krwawej sławie
— wywalczonej, nie czekanej w bezpieczeństwie—
bohaterów Stalingradu i Warszawy,
i tej bitwy, co przesądzi o zwycięstwie?

Niechaj sczeznę, niechaj raczej ziemię gryzę,
niech w nią ślepy czas mnie wdepcze—ale w walce!
I gdy w zębach mi zachrzęści piach ojczyzny
— niech ściskają gardło wroga moje palce.

Chorog na Pamirze, 1943

**GRZEGORZ TIMOFIEJEW**

## Kęs chleba

Jesteś głodny. Spragnionym ustom
chleb podają kobiece ręce.
Zostaw trochę ubogim wróblom,
by śpiewały hymn o podzięce.

Stół zaprasza schludą drewnianą.
Pień przy chacie, by można usiąść.
A na stole chleb pokrajano,
świeży zapach dokoła krusząc.

Jak to dobrze pieszczotą oczu
jak w dzieciństwie po stole wodzić
i głęboko z rozkoszą poczuć,
żeś nachodził się i wygłodził.

Czarny miękisz żujesz powoli,
woń razową jak zdrowie wchłaniasz.
Żytnie kłosy błyszczą na roli,
jakby skrzydła rozwijał anioł

i promiennie doliną zbiegał
błogosławiąc spokojnym chatom,
gdzie na stole leży kęs chleba:
upragnienie i słodycz świata.

## III

Zagadnieniem dużej wagi było zagadnienie transportu nafty. Trudności w transporcie dały się odczuć jeszcze przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny. Sytuacja pogorszyła się znacznie z chwilą, gdy kraj został wciągnięty w wojnę. Położenie Stanów Zjednoczonych okazało się dopiero groźne, gdy trzeba było zaopatrywać w naftę stany wschodnie, w których skupiła się znaczna część ważnych ośrodków przemysłowych. Przed wojną 95% transportu nafty na wschodnie wybrzeża odbywało się drogą morską za pomocą tankowców. Jeszcze przed 1941 r., a więc w pierwszych miesiącach wojny część amerykańskich tankowców przekazano Anglii. W momencie, kiedy Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, znaczna część floty transportującej naftę była już zatopiona. Utrata na pewien czas terenów naftowych na Dalekim Wschodzie i działania wojenne w rejonie morza Śródziemnego utrudniły jeszcze możliwości przewozowe na wschodnie wybrzeże.

**Ilości przewiezionej przez tankowce nafty**
(średnio na dobę — w tys. beczułek)

| | |
|---|---|
| 1941 (styczeń) | 1463 |
| 1942 (maj | 177 |
| 1943 (maj) | 71 |

Jak więc widzimy zamiast 1463 tys. beczułek nafty, którą przewoziły tankowce, zdołano przewieźć zaledwie 71 tys. „Wschodnie wybrzeże — pisze Ickes — stanęło przed problemem poważnego głodu nafty, który groził sparaliżowaniem przemysłu wojennego". Ciężkie położenie, w jakim znalazły się stany wschodnie, wymagało interwencji państwa.

Trudności w zaopatrywaniu naftą wschodniego wybrzeża starano się przełamać różnymi sposobami: budowaniem tankowców, montowaniem nowych rurociągów i mobilizowaniem cystern kolejowych (kotłowozów).

W latach wojny zbudowano na koszt państwa nową flotę tankowców. Budowa tankowców stała się jedną z najważniejszych gałęzi w ogólnym planie budowy floty. O rozmiarach jej świadczą najlepiej następujące dane. Przed przystąpieniem do wojny, Stany Zjednoczone posiadały 421 tankowców. W czasie od grudnia 1940 do grudnia 1944 r. w Stanach Zjednoczonych zbudowano 600 tankowców. Zbudowane w okresie wojny tankowce przewyższają tak pod względem tonażu jak i szybkości tankowce przedwojenne.

Równolegle z budową tankowców za pieniądze państwowe montuje się nowe rurociągi i rekonstruuje znaczną część starych. W pierwszych dwu latach wojny przeprowadzono dwa olbrzymie pod względem długości i przekroju rurociągi — jeden przeznaczony na ropę, drugi na przetwory naftowe. Oba przecinały kontynent od stanu Texas do wybrzeża wschodniego. Przeciętną ich wydajność można obliczać na zwyż 500 tys. beczułek na dobę. W styczniu 1944 r. ukończono budowę rurociągu przecinającego półwysep Florydę. Prócz tego podczas wojny przeprowadzono wielką ilość naftociągów również w kierunku na wschód. Wszystkie te przedsięwzięcia umożliwiły w znacznej mierze zwiększenie dostaw nafty do stanów wschodnich. I tak przed wojną przepompowywano rurociągami 53 tys. beczułek na dobę, a w roku 1945 dochodzono do 700 tys.

Budowa tankowców i rurociągów wymagała czasu. Dlatego podczas wojny państwowe organizacje zmuszone były korzystać przeważnie z kolei. Dla przewózki nafty i jej przetworów organizacje państwowe zmobilizowały 70 tys. wagonów-cystern, gdy w styczniu 1941 r. dla zaopatrzenia w naftę stanów wschodnich posługiwano się tylko 200 cysternami. Dzięki zmobilizowaniu cystern udało się zwiększyć dostawę nafty na wschód. I tak np. z wiosną 1941 r. przewożono koleją około 11 tys. beczułek na dobę, a w lipcu 1943 r. zwyż 900 tys. W 1943 r. 71% dostawiono za pomocą wagonów-cystern, a tylko 8% na tankowcach. Dopiero w 1944 r. kiedy eksploatacja rozporządzała już dwoma rurociągami i nowowybudowanymi tankowcami, transporty kolejowe zmniejszyły się. W 1944 r. 38,7% nafty i jej produktów przetoczyły rurociągi, tankowce przewiozły 16,1%, a wagony-cysterny dostawiły 37,8% ogólnego przewozu nafty na wschód. Podczas wojny okazało się, że Stany Zjednoczone nie były w pełni przygotowane do rozwiązania zagadnienia transportu nafty. Dopiero po przystąpieniu do wojny poczyniły energiczne kroki, aby zaopatrzyć w naftę wschodnie wybrzeże Atlantyku, tak ważny strategicznie rejon. Dlatego państwo zmuszone było w pierwszych latach wojny posługiwać się nienowoczesnym środkiem lokomocji — koleją, która w porównaniu z tankowcami i rurociągami jest najmniej wygodnym rodzajem transportu.

## IV

Wpływ wojny zaznaczył się i na rynku naftowym. Rozwiązała ona nie tylko problem realizacji nafty i większości jej przetworów, ale zmieniła także wyraźnie charakter konsumcji. Przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny zapotrzebowanie na przetwory naftowe dla celów wojennych było prawie nieznaczne. Np. w r. 1938 armia i ma-

rynarka wojenna zużyły wszystkiego 0,3% benzyny, jaką skonsumował kraj. W latach wojny na cele wojenne zużyto więcej niż 1/3 ogółem wydobytej nafty. W związku z wojną dało się zaobserwować masowe zapotrzebowanie na szereg nowych przetworów nafty — na stooktanową benzynę lotniczą, butadion i toluol. Zwiększyło się znacznie, w porównaniu z przedwojennym, zapotrzebowanie na smary i paliwo do motorów spalinowych.

Państwo musiało uciec się do takich środków, jak sztywne ceny na ropę i szereg innych produktów, ograniczenie i regulowanie eksportu i importu nafty, aby móc zaopatrzyć armię w paliwo.

Równocześnie z tym państwo wydatkowało olbrzymie sumy na zdobycie produktów nafty niezbędnych do prowadzenia wojny. Wkład kapitałów państwowych w handel przewyższył o wielu sumy inwestowane w przemysł. Od początku wojny do końca 1944 r. państwo włożyło w przemysł przetwórczy (subsydia na mało wydajne szyby, budowa rurociągów, transport nafty, zakup przetworów naftowych itd.) 10 miliardów dolarów, z czego tylko na benzynę lotniczą wydatkowano 2976 mil. dolarów, czyli 31%. W tym samym czasie na produkcję syntetycznego kauczuku wydano 715 tys. dolarów.

W przemyśle naftowym zaszły pod wpływem wojny gruntowne zmiany. Niektóre z nich noszą charakter przejściowy — np. po wojnie transport nafty będzie się znowu odbywał głównie za pomocą tankowców i rurociągów, a kolej straci znaczenie, jakie zyskała w czasie wojny. Osłabi się także interwencja państwa w przemyśle naftowym.

Stronę techniczną tego przemysłu charakteryzuje równocześnie wielki postęp, którego skutki ekonomiczne dadzą się odczuć po wojnie. W okresie wojny rola nafty jeszcze bardziej wzrosła. Nafta stała się niezbędnym surowcem dla wytwórczości wielu nowych produktów mających wielkie znaczenie w życiu gospodarczym. Prócz tego nafta dostarcza produktów o nieocenionym dla celów wojny znaczeniu. Wszystko to zaostrza walkę o naftę. Walkę tę wzmaga jeszcze udział rządów wielkich państw kapitalistycznych w polityce naftowej ekspansji.

Nie mniej ostre formy przybiera walka o rynki zbytu. Podczas wojny wzrosła znacznie wydajność przemysłu rafineryjnego, nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale i poza ich granicami. Walka o realizowanie takich produktów, jak benzyna, smary, paliwo do motorów Diesla spotka się na rynkach zbytu z ostrą konkurencją monopoli naftowych.

Wielki postęp w dziedzinie przetwórczego przemysłu naftowego wytworzył nowe formy konkurencyjnej walki. W latach wojny w Stanach Zjednoczonych powstała nowa gałąź przemysłu — produkcja syntetycznego kauczuku. Niezależnie od tego czy pozostanie ona w rękach państwa, czy przejdzie do rąk przedsiębiorstw prywatnych, kraj tę gałąź przemysłu o znaczeniu wojennym zatrzyma. Stany Zjednoczone były przed wojną najpoważniejszym konsumentem kauczuku naturalnego importowanego do kraju. Masowa produkcja syntetycznego kauczuku w Stanach Zjednoczonych wywoła jeszcze ostrzejszą walkę na światowym rynku kauczukowym, nawet w tych warunkach, jeżeli cena kauczuku syntetycznego będzie wyższa od naturalnego.

Nie mniej ostra będzie walka wewnętrzna w samym przemyśle syntetycznego kauczuku — walka monopoli naftowych ze zjednoczeniami rolniczymi, broniącymi produkcji syntetycznego kauczuku z surowców roślinnych. Nową formą walki między monopolami, po wojnie, będzie konkurencja koksowo-chemicznych i naftowych półproduktów w analinowo-farbiarskim i farmaceutycznym przemyśle, nowych mas plastycznych z naftowego surowca ze starymi materiałami itp.

Wielkie zmiany, jakie nastąpiły w przemyśle naftowym w latach drugiej wojny światowej, nadadzą jeszcze ostrzejsze formy walce konkurencyjnej wielkich monopoli i stojących za nimi państw o źródła nafty i o światowe rynki zbytu dla wytworów przemysłu naftowego.

**M. Kogan**

(„Mirowoje choziajstwo i mirowaja polityka", grudzień, 1945, nr 12).

TADEUSZ RÓŻEWICZ

# POEZJE

## Śmierć podchorążego

Pytasz mnie
jak zginął Henryk.

Zginął biegnąc
lecz obłok płynął dalej.

Dziewczyno
czemu chwytasz w otwarte usta milczenie
jak srebrną rybę
z oczu spadła łuska.
Krzycz.
Kule mają kres swego lotu
jak ptaki
spływają łukiem paraboli
opadają łaskawe jak owoce dojrzałe
kule bez celu
które nie trafiły
są jak pisklęta.

Zginął biegnąc
przebity kulą trafną
która przebyła połowę swej drogi
nim dobiegł
u zenitu
skrzyżował życie z torem kuli
w punkcie
do którego dążyli.
Może tylko w dłoni niesiení przez Boga.

Zginął biegnąc
lecz obłok płynął dalej.

## Stąd

Jakby promień
owionęła owiła
dokoła zbolałego ciała

kokon miłości
wysnuła z siebie
dla mnie

stąd motyle wylatują
za motylami
pawiookie

stąd lecą ptasie piski
jajeczka perłowe
nakrapiane modro

stąd miotełka słońca
frunie po ciemnym pokoju
pył strząsa na cienie

stąd świat oglądam
okiem słońca.

Siostro czyniąca miłosierdzie.

## Dłoniom poety

To jest miłość:
w dłoni ciebie trzymam
tak przerażone pulsuje
pisklę
nie mówię
nie pojmiesz
tchnąłem w ciebie.

Szczęśliwy rozwarłem palce.

Dziś w próżne dłonie
mogę ująć
księgę ze złoconym grzbietem
młot kielnię karabin
zwój rękopisów
albo
piórko pawia
z okrągłą na łodyżce tęczą

uroniłaś
odlatując z dłoni.

## Uciszenie

Zmiąłem rękopis
pełen gniewu.
Palcami
czulszymi od słów
prostujesz zmarszczki na mym czole.

Zamknąłem oczy
nie chcę widzieć słyszeć mówić
wargą jak różany płatek
otwierasz mi usta.

Uderzyłem pięścią
w chińską wazę
nim się rozprysła
zdjęłaś ją ze stołu.

Pokonany
pokornie kłonię się do kolan
a burza mija falbanką
koronką dokoła twych nóg.

## Okruch

Maleńkie gniazdko
uwiła z ramion.

Chcę jej powiedzieć,
że nasza miłość
jest taka mała
jak gniazdko
wyścielane puchem
i kwileniem.

Uwiła na wulkanie.

Jej włosy mają blask
jak piórka światła
szczęście którego każdy okruch
jest pokarmem głodnych.

Ja połykacz płomieni
z pożogi
w powietrzu na ziemi i na morzu,
czarną spękaną wargą
chcę jej powiedzieć że

Lecz ona trzyma w dłoni
tylko jeden okruch
uchroniła go uniosła
biegnąc
przez ogień i wodę.

## Gotyk i wiosna

Gotyk jest czerwony
zielona jest wiosna.

Gotyk cięciwa ostrołuku.
Wykrzywiają się maszkarony
ziewają plwacze
z pysków otwartych
zamiast języka
tryska strumień wody
przypory się przeciągają
wyginają grzbiety.

Gotyk wystrzelił z patyny.

Katedra omszała. Wewnątrz
rubin w złotym kielichu. Msza.
Starzec z kości słoniowej
uczynił znak krzyża
na tęczy.
Niżej niziutko
przy ziemi
klękają dzieci.
Dokoła. Wiosna młoda wiosna
listkami zieleni
spryskała mury.

Fermentują kształty.

HELENA WIELOWIEYSKA

# W Krakowie

Wczoraj miałyśmy znowu gości z Warszawy. Dwie panie, kuzynki przyjaciela Janki i dziecko, dziewczynka. Nazywa się Krysia, ma pięć lat, długi nos i zachwyca się Dudusiem. Chodzi ciągle za nim a on ją bije. Na szczęście jutro już wyjeżdżają do Poronina.

Moja siostra mówi, że to niemożliwe, żeby tak dłużej trwało, że przecież każdy musi mieć prywatne życie nie tylko samych gości. Ale o naszych stałych, już naturalizowanych warszawiaków dba w dalszym ciągu jak o mnie albo o Dudusia. Zresztą, warszawiacy odpłacają się jej jak mogą za dobre serce. Niańczą dziecko, skrobią ziemniaki, przynoszą węgiel z piwnicy i na każdym kroku ułatwiają życie. Pani Teresa wytrzepała dziś nasz ostatni perski dywan (ten największy); teraz, po odczyszczeniu nabrał swoich dawnych, wesołych barw i nadaje się na sprzedaż. Chwała Bogu, bo pieniędzy znowu nie ma, a kiedy warszawiacy wyjadą, to kto go będzie trzepał?

Karol przyszedł dziś wieczór z jednym warszawiakiem, którego już nie mógł u siebie pomieścić, ale warszawiak miał katar i nie chciał spać w kuchni, bo zimno, a w naszym pokoju śpią same kobiety i Duduś. Zreflektował się, zwłaszcza na widok Dudusia, który bardzo grymasił i poszedł szukać noclegu gdzie indziej (warszawiak, nie Duduś).

Karol wyszedł z nim razem do jakiegoś przyjaciela, u którego przed paru tygodniami widział wolną kanapę. Jest to nadzieja bardzo wątła, ale warszawiak miał zdecydowaną postawę i za nic nie chciał zostać. Więc wyszli razem i nie wiem dzisiaj, czy mnie Karol kocha.

— — — — — — — — — — — — — —

Dziś było wielkie święto, bo wypłacali „dodatek". Na widok kostki margaryny i pieniędzy, które przyniosłam, wybuchła w domu spontaniczna radość. Pani Teresa pobiegła natychmiast do sklepiku po trzy „krówki" dla Dudusia i po coś na kolację dla nas, a jej siostrzenice w zapale wzięły się do szorowania kuchni. Jedna z nich zaczyna robić dla mnie sweter, ale nie wierzę, żeby go skończyła kiedykolwiek. Już ma gdzieś obiecaną posadę, tylko mieszkania nie ma i śpi biedactwo razem z nami wszystkimi w jednym pokoju. I ma razem z kuzynką jedną wąską kanapkę z wyłażącym włosiem.

Karol dziś przyszedł wcześniej, bo jak mówił, miał mi coś ważnego do powiedzenia i liczył na to, że warszawianek jeszcze nie będzie w domu. Ale przeliczył się. Więc tylko w przedpokoju zdążył mi powiedzieć, że mnie kocha, że kończy swoją powieść i że wojna skończy się przed Bożym Narodzeniem. Potem nic już nie mógł mówić, bo Duduś się kąpał i strasznie krzyczał.

— — — — — — — — — — — — — —

Karol jest bardzo chudy i zdaje się niewiele jada. Nie może przecież zarabiać porządnie, bo się dekuje przed jeżdżeniem „na okopy". Ale już kończy swoją książkę i wydawca znów mu da trochę pieniędzy. Jesteśmy dobrej myśli; warszawianki dostały zamówienie na robotę dwóch swetrów od stróżki z przeciwka, która handluje wódką i wojskową bielizną. Całe szczęście, bo już chodzić znowu nie można. Łapią i łapią.

— — — — — — — — — — — — — —

Mamy od wczoraj całkiem nowe warszawianki. Cztery. Jedna nasza daleka kuzynka wysiedlona z Poznania, jej przyjaciółka i dwie kuzynki tej przyjaciółki. Tamte warszawianki musiały uciekać, bo okazało się, że jedna z nich jest Żydówką z Krakowa i ktoś ją poznał na ulicy, kiedy weszła do sklepu. A że wrócił Wilhelm, taki gestapak, najniebezpieczniejszy z Niemców na naszej ulicy, więc było niedobrze. Karol mówi, że to nic, że i pani Teresa i tamte uchowają się, bo wojna skończy się za parę tygodni.

Stróżka z przeciwka przyszła po swoje swetry i strasznie się gniewała, że nie gotowe. Ona mówi, że jej wszystko jedno, że to są inne warszawianki i że to świństwo ukrywać Żydów, kiedy cała ulica o tym wie. Krzyczała na mnie i na Jankę, że nasze warszawianki muszą skończyć jej swetry. Na szczęście jedna z nich umie świetnie robić na drutach a reszta uczy się, bo nie chcą wiele chodzić po ulicach. Więc stróżka udobruchała się i jeszcze przyniosła wełnę na jedną parę rękawiczek dla męża. W końcu dała nawet Dudusiowi cukierka.

— — — — — — — — — — — — — —

Dziś zapowiadał się postny dzień. Na obiad była kartoflanka z kartkowym chlebem i wyglądało, że na tym się skończy; tymczasem Karol przyprowadził na hoc jedną warszawiankę, swoją kuzynkę. Nazywa się Anetka, ma jasne włosy, jest wesoła i choć gruba, bardzo do niego podobna. Uciekła już z transportu do Rzeszy. Miała na sobie dwie wełniane suknie, trzy jedwabne, kostium i futro karakułowe podniszczone, ale nadające się jeszcze na sprzedaż. Twierdzi, że wcale jej w tym wszystkim nie gorąco, kiedy sobie pomyśli, że mogłaby tych rzeczy nie posiadać. — Za samo futro dostanę ze dwadzieścia tysięcy — mówi. — A potem nakupię jakiegoś towaru, pojadę z nim dalej i jakoś to będzie. — Karol jest nią zachwycony. Na razie wszystkie te rzeczy wiszą na balkonie, a Anetka chodzi w starym szlafroku Janki, bo uciekłszy z pilnowanego transportu doczołgała się wzdłuż żywopłotu i toru do jakiegoś chłopskiego chlewika, gdzie przesiedziała cały dzień i dwie noce, więc jej ubranie przeszło tym zapachem. Anetka bardzo polubiła Dudusia, ciągle go bierze na kolana i mniej więcej co pół godziny chodzą razem na balkon wąchać garderobę, czy jeszcze śmierdzi. Potem Anetka kicha a Duduś zanosi się ze śmiechu. A potem kicha Duduś a Anetka się śmieje — i znowu na zmianę, tak że tej zabawy wystarcza im na następne pół godziny, aż do chwili, kiedy znów wychodzą na balkon.

Kolacja, chociaż zapowiadała się smutno, była dość wystawna. Anetka przywiozła nam wszy i kilo masła, które gdzieś po drodze uhandlowała za szalik. Tamte warszawianki uporządkowały szafę i znalazły gdzieś w kącie mąkę, która już była do wyrzucenia, bo ją robaki zjadły. Warszawianki przesiały ją przez sito z markizetowej firanki od wózka Dudusia i zrobiły wspaniałe kluski, które jedliśmy wszyscy, bo Karol też został na kolacji. Sam Duduś zjadł siedem klusek i chciał jeszcze, ale choć mu Janka nie dała i tak w nocy krzyczał.

Wychodząc, na zapytanie czy mnie kocha, Karol pocałował mnie tylko w czoło i nic nie powiedział.

— — — — — — — — — — — — — —

Anetka i warszawianki mówią, że już parę dni nie łapią i że to niemożliwe, żebyśmy tak mało zarabiali. Albo ja albo Karol musimy więc pójść na tandetę coś sprzedać: futro Anetki, albo moje letnie pantofle, które są skórzane i wcale dobrze się prezentują i można w nich jeszcze chodzić w zimie do śniegowców. Janka zaproponowała dywan, ale warszawianki się nie zgodziły, bo robi się coraz chłodniej, więc będą się nim przykrywały na noc.

Karol mówi, że tej mąki wystarczy jeszcze może i na cały tydzień a do tego czasu wiele może się zmienić. Zresztą, jak twierdzi, najsłuszniejsza jest postawa kontemplacyjna i obojętność wobec wszelkich emocyj niższego rzędu, jak jedzenie. On chce jutro przyjść przeczytać mi swoją powieść, bo Anetka ma zamiar niedługo wyjechać, więc żeby jeszcze mogła usłyszeć. Wprawdzie jego wydawcę zabrali razem z całą rodziną i z zaliczki nici, ale cóż może być większym szczęściem niż to: zakończyć swoje dzieło, nad którym pracowało się pół roku i które jeszcze nie zdołało obrzydnąć — mówi.

— Przez tydzień same kluski i makaron to nic wesołego — krzywi się Anetka. — Nawet twoja powieść wyda nam się o wiele gorsza

niż jest w istocie. — Anetka żartuje, ale mnie jest przykro, bo ta powieść to dla Karola najważniejsza sprawa od wielu, wielu miesięcy. Czy należy śmiać się z tak ważnej i trudnej części czyjegoś życia? A tu znowu: masło Anetki zjedliśmy dawno i ona je razem z nami nieomaszczone kluski. (Wszy jeszcze się trafiają, ale po ostatniej „masowej" kuracji już tylko u Dudusia.)

Karol tymczasem śmieje się, jak gdyby jej masło nigdy nie istniało. Śmieje się do Anetki i gdyby nie to, że wygląda na jej rodzonego brata i jest jej ciotecznym bratem naprawdę, byłoby mi przykro.

— Nie lubisz klusek? Chyba w powstaniu nie byłaś taka wybredna? — pyta.

— Nie — teraz dla odmiany Anetka śmieje się do Karola. — Wyobraźcie sobie — mówi — że w tym szpitalu na Mokotowie, gdzie pracowałam ostatnio, było już tak głodno, że chłopcy polowali na bezpańskie psy. Raz jedliśmy pieczeń na dziko. Smakował.

— Jak smakował? — pyta Karol i odkłada widelec.

— Jak zając — odpowiada Anetka i śmieje się, śmieje swoim szczerym, serdecznym i irytującym śmiechem osoby tęgiej, zdrowej i beztroskiej.

Janka bierze na ręce Dudusia i pod jakimś pierwszym lepszym pozorem odchodzi od stołu wśród docinków warszawianek.

— Jakiż był ten wasz piesek, Anetko? — pyta Karol.

— Jamnik. Taki, jak Mucha wujka Leona, pamiętasz? Tylko brązowy.

Anetka zasępia się i milknie. Potem zagarnia z półmiska resztę klusek i je szybko, zdecydowanie i energicznie, jak gdyby śpieszyła się na pociąg.

Dziś także, wychodząc, Karol nie powiedział mi, że mnie kocha.

— — — — — — — — — — — — — —

Wczoraj było wielkie święto, bo Duduś powiedział wyraźnie dwa zdania: „Mama daj" (przy obiedzie do Janki) i „Alol nie" — kiedy Karol chciał go wziąć na ręce. Warszawianki, które wreszcie oddały już gotowe swetry i mają trochę pieniędzy, kupiły mu „krówek".

Karol przesiaduje u nas całymi dniami i czyta głośno swoją powieść Anetce. Kiedy wracam z biura, wychodzi.

Jest mi trochę przykro, ale nie chcę go zatrzymywać, bo wieczorem chodzą po mieście gęste patrole i legitymują. Karol twierdzi, że siedząc u nas cały dzień ukrywa się. Nie mogę mu powiedzieć o tym, że trzy kamienice od nas „wybrali" do budy i wywieźli wszystkich warszawiaków i wszystkich mężczyzn.

— — — — — — — — — — — — — —

Karol nie był u nas już trzy dni, to znaczy odkąd Janka mu powiedziała, żeby nie przychodził na tak długo. Janka jest impetyczką i nieraz robi coś, czego później żałuje. Na szczęście Anetka spotkała go przypadkiem na mieście i wytłumaczyła Jankę opowiadając o tym aresztowaniu w sąsiedztwie.

Jutro ma przyjść, ale w czasie, kiedy mnie nie będzie. Zresztą, tylko po to, ażeby odnieść do jakiegoś kupca futro Anetki.

— — — — — — — — — — — — — —

Upłynęło niewiele czasu, a tyle się u nas zmieniło. Więc przede wszystkim: Karola złapali, jak szedł z futrem Anetki, które chciała sprzedać, bo trafiała się jej po okazyjnej cenie partia wojskowych kalesonów od pewnej naszej znajomej stróżki. Potem Anetka poruszyła wszystkich moich znajomych i Janki i znajomych Karola. Sama zajęła się jego sprawą — kontaktowała się nawet z Wilhelmem, przez tę stróżkę. Do mnie przychodziła tylko co chwila do biura, ażeby odpocząć i zdać mi relację ze swoich starań.

Potem odzyskała swoje futro, podobno przez Wilhelma. Potem wyjechała wojskową ciężarówką ze swoimi kalesonami.

Potem mnie wyrzucili z biura z powodu niebezpieczeństwa, jakie miało zagrażać całemu personelowi przez moje nieostrożne zachowanie się. Właściwym powodem były częste wizyty Anetki w biurze i jej podniecone szepty ze mną, cichnące za każdym wejściem do pokoju, w którym pisałam na maszynie.

Warszawianki jedna po drugiej niepostrzeżenie wyniosły się od nas, a na ich miejsce zjawiły się inne. Potem nie było już żadnych warszawianek, ale nie było też i Niemców, bo uciekli. Zaczęli się zjawiać przelotnie oświęcimiacy i różni inni. Przyjeżdżała też parę razy Anetka, już w nowym, selskinowym palcie, modnym i szerokim. Przywoziła za każdym razem słodycze i zabawki dla Dudusia i partię pończoch z Częstochowy, które rozsprzedawała Janka.

A potem wreszcie wrócił Karol, w nowiutkim, amerykańskim mundurze z napisem „Poland" na ramieniu i z gotowym tomem opowiadań w kieszeni.

Nasz wydawca też już wrócił, ale Karol opowiadania sprzedał jakiejś spółdzielni, która więcej płaci. A o powieści mówi, że ją musi poprawić i nie oddaje jej temu, który mu dawał zaliczki, tylko czeka aż upłynie jakiś termin, po czym ma zamiar sprzedać ją drugi raz tej swojej spółdzielni. Tak mu poradziła Anetka, jeszcze kiedy mieszkał w Warszawie. Karol jest bardzo uczciwy i nie chciał się zgodzić, ale Anetka twierdzi, że on jej musi słuchać, bo jej wiele zawdzięcza. Przecież tak się o niego starała, kiedy go wtedy złapali z jej futrem. Wprawdzie go nie wypuścili, ale co to znaczy, skoro i tak wrócił i jeszcze napisał przez ten czas nową książkę. Karol jest bardzo delikatny i nie chce robić jej przykrości tym bardziej, że ten dawny jego wydawca nie dostaje przydziału na papier i drukuje na bardzo brzydkim, szarym, z kawałkami drzewa i czarnymi kropkami. Zresztą, zdaje się, że o tej książce szczęśliwie zapomniał, jak gdyby Karol był zwyczajnym debiutantem, więc może lepiej poczekać aż ta umowa wygaśnie.

Potem, a raczej przedtem, Karol ożenił się z Anetką, a ja miałam zapalenie mózgu. Potem Duduś dostał odry i moja siostra Janka siedząc przy jego łóżeczku skończyła dla mnie sweter, który zaczęła jeszcze warszawianka, ta, która musiała od nas uciekać, gdyż była Żydówką i pochodziła z Krakowa.

Potem Karol wrócił do Krakowa i zamieszkał ze mną.

Potem wrócił mąż Janki i oboje z Dudusiem przenieśli się do Wrocławia, a my odziedziczyliśmy całe mieszkanie, to znaczy pokój i kuchnię z balkonem.

Teraz Karol myśli zacząć trzecią książkę, ale idzie mu nie łatwo, bo musi zarabiać artykułami (tamte pieniądze za opowiadania już dawno wyszły).

Karol jest już o wiele mądrzejszy, bo w Warszawie, od Anetki, nauczył się trochę życia, jak mówi. Więc tę książkę najpierw przeczyta przez radio, potem wydrukuje w gazecie, a o wydawaniu jeszcze nie myśli, bo jej jeszcze nie ma.

Anetka koresponduje z nami często, w sprawie rozwodu. Zresztą jesteśmy w przyjaźni. Ostatni raz jak przyjeżdżała do Krakowa, to zamieszkała u nas w kuchni. Było bardzo miło i wesoło, tylko jej nowy pies ciągle robił nieporządek, bo się przemęczył drogą. To jest brązowy jamnik, bardzo rasowy, kosztował pięć tysięcy i lubi jeść tylko mięso a tego mu nie wolno, bo za młody. Anetka ma z nim kłopot, a i my mieliśmy także kłopot przez te dwa dni, które spędziła u nas.

Nie mam do niej żalu. Jest tak podobna do Karola, że muszę ją lubić. Ma takie same jasne włosy i brwi zawieszone nisko nad niebieskimi oczami, ciemniejące w kierunku nosa. Teraz, kiedy Karol przytył, podobieństwo wzmogło się jeszcze. Tylko Anetka jest ciągle zapracowana i zabiegana a Karol woli tryb życia spokojny, kontemplacyjny. Anetka pracuje w jakiejś firmie handlowej a poza tym robi interesy na własną rękę i doskonale się jej powodzi. Kiedyś byłam świadkiem takiej rozmowy: (Anetka siedziała u nas w kuchni w swojej starej sukni, jednej z dwóch wełnianych, w których przyjechała z powstania. Sukni porządnie już wyrudziałej i podniszczonej. Na nogach miała rozklepane półtrzewiki i pończochy grube i takie, jakich ja już dawno nie noszę. Przebierała jakąś niepaloną, pełną śmieci kawę, którą mimochodem zahandlowała tu, w Krakowie).

KAROL: Powiedz mi Anetko, dlaczego tak uparcie pracujesz. Po co ci tyle pieniędzy?

ANETKA: To wcale nie jest dużo pieniędzy. A zresztą ja mam duże potrzeby. Mieszkanie w Warszawie jest zniszczone po powstaniu i wymaga ciągłych wkładów. W tym mieszkaniu nie zastałam przecież niczego. Ani ubrań, ani garnków, ani mebli, ani pościeli.

KAROL: A kiedy już kupisz sobie i meble i całe urządzenie i ubranie?

ANETKA: Ja wydaję na kulturalne rozrywki. Czy nie chodzisz do teatru?

JA: My z Karolem chodzimy za darmo, na każdą premierę.

ANETKA: Chcę wyjechać za granicę. Coś zobaczyć, czegoś się jeszcze nauczyć, póki jestem młoda. Tobie tężby się przydało. (To do Karola, oczywiście).

KAROL: Mam możność wyjazdu za granicę. Wyślą mnie i jeszcze zapłacą, jeśli się zgodzę wyjechać.

ANETKA: A jednak nigdy nie zamieniłabym się z tobą, na twoje życie. To wegetacja. Gdybym zarabiała tylko dwa razy tyle co ty, życie nie miałoby dla mnie sensu. Wolność...

KAROL: Ani też ja. Wolność polega na możliwości wyboru.

Karol, to właściwie z pochodzenia warszawiak. Wesoły i pomimo innych pozorów żywotny i zaradny życiowo. Śmieje się i cieszy z byle czego jak dziecko albo jak Anetka. Gdyby nie krakowskie zamiłowanie do kontemplacji, gdyby nie ogarniające go od czasu do czasu napady lenistwa, druzgocącego nasz budżet domowy nieróbstwa, gdyby nie artystyczne zamiłowania i estetyczne nawyczki, kto wie, czy nie lubiłby imponować przechodniom na ulicy nowym futrem i nie zamęczał się nocami przebieraniem jakiejś kawy siedząc w zimnej kuchni w starym, zatłuszczonym ubraniu, ażeby za to futro zapłacić.

Karol ma właściwie tylko jedno ubranie. Z materiału, który dostał „na przydział" w Związku Literatów w Warszawie, zaraz po przyjeździe. Nie jest ono wełniane, ale dobrze się trzyma, mimo, że nie mogę się zdobyć na żelasko elektryczne. Na spodniach śpimy — Karol wkłada je co wieczór pod materace — więc mają cudowne kanty. Marynarka jest wprawdzie trochę workowata i pozbawiona fasonu, ale jego rodzinna skłonność do tycia przychodzi nam z pomocą. Karol samym sobą wypełnia już prawie szczelnie przydziałową bawełnę z niemieckiego buka i wygląda w niej prawie elegancko.

Karol nigdy nie zapomina wieczorem włożyć spodni pod materac. Nigdy też nie mówi już, że mnie kocha. Ale też nie wyjeżdża do Warszawy.

**Helena Wielowieyska**

TADEUSZ BREZA

# Biblioteka Polska w Paryżu
## za czasów okupacji

W dniu 14 czerwca 1940 r. Niemcy wkroczyli do Paryża. W cztery dni potem pojawili się w Bibliotece. Przyszło ich czterech, jeden oficer, trzech podoficerów, wszyscy z Geheime Feldpolizei (policji polowej). Rozejrzeli się w gmachu, przepytali administratora o personel, do drzwi wejściowych przytwierdzili afisz zakazujący wstępu, wzięli klucze od wszystkich pięter i poszli sobie. Następnego dnia zjawiła się policja zwykła, przeprowadziła rewizję w całym gmachu, z biur Biblioteki powyciągała akta i oddaliła się. Powróciła nazajutrz, powtórzyła swoje czynności, ładując do teczek papiery, które wydały jej się podejrzane. Między innymi zabrała wtedy rękopiśmienną listę z nazwiskami powstańców z r. 63. W dziesięć dni później przed gmach zajechali funkcjonariusze SS. Było ich kilkudziesięciu, przybyli w 8 samochodach ciężarowych. Z ilości tych wozów sądząc, zamierzali się dobrać do ruchomości Biblioteki. Administrator pokazał im afisz żandarmerii. Podumali nad nim chwilę i wycofali się. W każdym razie z tego wszystkiego widać, że niejedna instytucja niemiecka znała i interesowała się sprawą Biblioteki.

W ciągu następnego miesiąca Biblioteka miała 14 wizyt niemieckich. Z reguły odwiedzali ją przedstawiciele policji, a bardzo często z nimi urzędnicy niemieckiej ambasady. Szukali, pukali, węszyli za skrytkami, dobierali się do biurek i szaf, wyłamując zamki. W ten sposób natrafili na zbiory numizmatyczne Biblioteki. Znalezione monety zesypali do worków i nie pieczętując ich, nie robiąc inwentarza, zawlekli skradziony skarb do samochodu. To jednak były dopiero fortpoczty niemieckiej grabieży!

7 września tegoż roku przyszło pierwsze cięższe uderzenie. W gmachu pojawił się niejaki Grau, przedstawiciel Rosenberga, a raczej instytucji, która nosi miano „Einsatzstab Rosenberg". Dowiedziawszy się, że klucze od poszczególnych sal znajdują się w posiadaniu policji, wyruszył po nie. Posiadać musiał odpowiednie pełnomocnictwa, gdyż wrócił z całym ich pękiem. Rozejrzał się, porobił jakieś obliczenia, po czym zabrał pod pachę trochę drobiazgów, które później administrator odnalazł w głównym biurze Einsatzstabu w Paryżu i w milczeniu oddalił się. W dwa dni potem przed gmach Biblioteki przybywa kolumna robotników. Jest ich czterdziestu. Dowodzi nimi 6-osobowy sztab z paryskiej komórki Rosenberga. Komendant ich, to niejaki pan Koegel, wyższy urzędnik Staatsbibliotek z Berlina; zastępują go dwaj młodsi asystenci w osobach pp. Junga i Busega, funkcje adiutantów w tej kolumnie rabusiów pełnią stenotypistki. Wszyscy zabierają się żywo do pracy, której porządek dwukrotnie mąci policja. Ładowanie w paki staje na miejscu, spór się zaostrza, okazuje się jednak, że rosenberczycy mają papier nie tylko od swojego szefa, ale od Hitlera, policja ustępuje. 776 pak z książkami wyrusza do Niemiec.

Następnego miesiąca Einsatzstab Rosenberg przypomina sobie o Muzeum Mickiewicza, części składowej Biblioteki. Wspomniany Jung powraca, zamawia nowe skrzynie, każe ładować co zostało i ekspediuje to w ślad za drukami Biblioteki. W sumie Rosenberg okradł Bibliotekę Polską w Paryżu ze 130 000 tomów bibliotecznych. Z Muzeum Mickiewiczowskiego zabrał całą osobistą bibliotekę Mickiewicza, kompletny zbiór wszystkich wydań poety, kilkunastotysięczny skatalogowany zbiór wycinków prasowych odnoszących się do osoby Mickiewicza i jego czasów, wreszcie księgozbiór specjalny, poświęcony Wielkiej Emigracji.

W spisie tym oczywisty brak tego, co w Bibliotece było najcenniejsze. Dyrektor Biblioteki p. Franciszek Puławski zdołał to ukryć. Na 10 dni przed wejściem Niemców do Paryża, powiadomiony przez swoich kolegów francuskich o grożącym niebezpieczeństwie, co mógł to z Biblioteki wywiózł. Miał z kraju dokładne wiadomości o stosunku Niemców do polskich dóbr kulturalnych. Nie robił sobie iluzji. Niestety czasu nie było wiele, środki ograniczone. Przede wszystkim zajął się rękopisami, rękopisem „Pana Tadeusza", „Ksiąg pielgrzymstwa", tysiącem manuskryptów z lat 1500—1800, kolekcją autografów królewskich, archiwami książąt Saskich, zbiorem dokumentów ambasady rosyjskiej z czasów Stanisława Augusta, wielkim zbiorem dokumentów konfederacji barskiej, jedynym w świecie, blisko pięćdziesięciotysięcznym kompletem broszur, listów otwartych, druków ulotnych z lat 1830 do 1838, zbiorem fundamentalnym dla badań nad sprawami powstania i emigracji. Następnie: dziewięcioma tysiącami rycin, bezcenną, blisko trzytysięczną kolekcją starych map, słynnym aktem detronizacji cara Mikołaja I, aktami sztabowymi powstania listopadowego itd., itd.

Z bogactw tych najcenniejsze oddał p. Puławski w ręce kardynała Hlonda, który od września 1939 r. przebywał na terenie Francji. „Musée Carnavalet", w pełnym zrozumieniu sytuacji, przyjęło druki. Biblioteka zawdzięcza to p. François Boucher i p. Jean de la Monneray; pierwszy to dyrektor, drugi to konserwator tego muzeum. Henri de Montfort, dyrektor administracji Institut de France, ukrył resztę zbiorów, które z Biblioteki zdołano wywieźć. Pewną część mebli, dywanów i obrazów już po wejściu Niemców uratował z gmachu Biblioteki p. Bzyl, portier i jego dozorca. Nocą zakradał się do sal, dniem plątał się między Niemcami, ilekroć przychodzili na rewizję, szlachetnym podstępem umiejąc zawsze wyłudzić od nich a to jakiś fotel czy makatkę, na podstawie skarg składanych na dawny zarząd Biblioteki, że niby to pozostał mu coś dłużny. Łupy tak zdobyte składał p. Bzyl w specjalnie na ten cel wynajętym mieszkaniu. A to dla większej ostrożności! Mniej ostrożny natomiast był w korespondencji, w której powiadamiał p. Pułaskiego, mieszkającego na południu Francji, o każdym swoim udanym pociągnięciu. Na szczęście żaden jego list nie wpadł w ręce niemieckie. Sprawie Biblioteki podczas okresu okupacji dobrze się zasłużył.

A tymczasem rabunek mienia Biblioteki posuwał się dalej. W Paryżu powstał „Instytut Niemiecki". Przyznał on sobie gmach Biblioteki, podobnie zresztą jak gmach polskiej ambasady przy ul. Talleyrand. Urzędnicy Instytutu łupili i jeden i drugi z nieruchomości, rozwożąc je do swoich mieszkań prywatnych czy też do licznych oddziałów Instytutu rozsianych po mieście. Po wyjściu Niemców część mebli odnaleziono aż w Chartres! Jako datę ostatniego rabunkowego najścia Niemców podaje p. Bzyl 2 maj 1944 r.

Do połowy 42 r. Instytut wprowadzał w gmachu Biblioteki różne przeróbki. Nie bacząc na fakt niedawnych kolosalnych robót inwestycyjnych i restauratorskich dokonanych w Bibliotece, Niemcy z impetem zabrali się do wtykania swoich trzech groszy. A w ciągu ostatnich trzech lat przed wojną włożono w gmach 2 000 000 franków! Biblioteka przekształcała się w Instytut Polski w Paryżu; powstać miał przy nim polski uniwersytet za granicą. Ówczesny prezes Akademii Umiejętności w Krakowie, prof. Wróblewski, w związku z tak poważnym przeistoczeniem Biblioteki, przygotowywał wraz z jej dyrektorem na rok 1939 wielki kongres polskich i francuskich historyków. Miał on się zebrać na jesieni 1939 r. Zbierze się jeszcze!

Ale „Instytut Niemiecki" w Paryżu, mimo że wszedł w posiadanie gmachu tak wybornie i tak na świeżo przystosowanego do celów bibliotecznych, uparł się wszystkie sale Biblioteki przerobić na wykładowe. Miejsca wciąż było mało. Naczelny dyrektor Instytutu, dr Klee, poddawszy oględzinom całą nieruchomość, kazał z niej usunąć lokatorów. Zaczęto zwalać ścianki działkowe, przepierzenia. Pracami kierowali dwaj architekci: Keller i Beugnet. W prastarym gmachu wszystko miało zostać zmodernizowane. Koszta tej przeróbki wzrosły do wysokości 400 000 fr. W momencie, w którym usunięto wszystkie półki, wszystkie boazerie, kaloryfery, przewody elektryczne, kanalizacyjne, nagle prace przerwano. Jeszcze przez jakiś czas błądzili po gmachu dekoratorzy sprowadzeni specjalnie z Monachium. Coś się musiała Instytutowi powikłać sprawa Biblioteki. Przestał o niej myśleć. Przez dwie zimy gmach biedował w zupełnym rozgardiaszu, bez opału, bez pieców, bez wody. I takim po wyjściu Niemców zastał go dawny zarząd Biblioteki.

Mieści się ona, jak wiadomo, na wyspie św. Ludwika. W najstarszej części Paryża. Sąsiadami jej są katedra Notre Dame oraz Hôtel Lambert, jeden z najpiękniejszych i najbardziej wiekowych pałaców Paryża, (nabyty po powstaniu przez ks. Adama Czartoryskiego, stanowi do dziś własność jego potomków). Stopy Biblioteki omywa Sekwana. Tak jak wszystkim innym pałacom ciągnącym się wzdłuż brzegów rzeki w jednym rzędzie z Biblioteką. Założona w r. 1838, osiadła w gmachu, o którym opowiadam, w r. 1853. Napoleon III przyznał jej przywileje należne instytucjom użyteczności publicznej. W r. 1893, za zgodą prezydenta republiki Carnota, przechodzi Biblioteka na własność Akademii Umiejętności, która ją przekształca na swoją Stację Naukową. Bibliotekarzem jej przez 30 lat (do r. 1926) był Władysław Mickiewicz. On to utworzył przy Bibliotece muzeum. Przez lata całe była ona chlubą, pociechą i ukochaniem całej emigracji. Na jej półkach oglądałeś książki zakazane przez zaborców, całe ich tysiące. W archiwach czytałeś dokumenty, których byś nigdy nie ujrzał w bibliotekach rozsianych po ziemiach pod zaborami. Nazwano ją naszym „arsenałem w wojnie o niepodległość". Nam, którzy znamy i siebie i Niemców, trudno się nawet dziwić, że w ich sercach zapadło postanowienie, by ją zniszczyć!

Ale nie dziwić się, nie znaczy nie oburzać się. W oburzeniu tym nie jesteśmy osamotnieni. Na terenie Paryża Biblioteka jest jedyną

instytucją, którą Niemcy tak potraktowali. Stąd nieszczęście jej jest głośne wśród sfer naukowych Paryża. Równie głośne, jak spalenie podczas poprzedniej wojny Biblioteki w Louvain. Spalili ją Niemcy! Mimo szpetoty tego postępku za przysłonę (słabą, bo naciągniętą) służył fakt, że pożar wybuchł niby to wskutek działań wojennych. Biblioteka Polska została rozbita na zimno. Francuzów doprowadza to do furii. Oburza ich również, że ręce niemieckie na terenie francuskim naruszyły święte prawo azylu, prawo gościnności.

Kiedy w ślad za wojskami aliantów, po uwolnieniu Paryża, przybiegli do Biblioteki dawni jej pracownicy, mówił p. Bzyl, że płakali wszyscy. Nad krzywdą i nad beznadziejnością sytuacji. To było dno! Powoli jednak zaczęły napływać pocieszające informacje. Powierzone kardynałowi Hlondowi pakiety, mimo aresztowania go, uratowały się. Podrzucone francuskim bibljotekom mienie ocalało. Niemcy nic nie wywęszyli. Z terenu Niemiec przyszły wiadomości, że Rosenberg książek ukradzionych nie zniszczył. Odnalazły się wszystkie. Wojnę przetrwały w skrzyniach. Rozproszone po całym Paryżu meble i obrazy częściowo się odnajdowały. Długo brakło portretów i popiersi różnych polskich postaci historycznych (w tym, oryginalnej makiety Bourdelle'a do pomnika Mickiewicza). Niektóre odszukano.

Najgorsza sprawa była z gmachem. Prastary, naruszony w ciągu ostatnich lat tylokrotnie — raz dla swego dobra, potem na swoje nieszczęście — stojący bez ścianek działkowych już blisko drugi rok, domagał się natychmiastowej interwencji konserwatorskiej. A interwencja taka znowu domagała się pieniędzy! Sędziwy dyrektor Biblioteki, nasz pierwszy po tamtej wojnie poseł w Stanach Zjednoczonych, noszący szacowne dla każdego Amerykanina nazwisko: Pułaski, odezwał się do swoich dawnych przyjaciół zza morza. Częściowo wskutek tej inicjatywy powstał w Ameryce Komitet Pomocy Zniszczonym Bibliotekom w Europie. Z polskich bibliotek na liście komitetu figuruje jedynie paryska. Ale czynności komitetu są na razie w stadium organizacyjnym. Sprawą Biblioteki przejął się również świat naukowy i intelektualny francuski. Nam, przyzwyczajonym do manier niemieckich stosowanych na wschodzie Europy, metody użyte dla rozbicia Biblioteki Polskiej w Paryżu, wydają się nie takie znowu potworne. My, dla których całopalenie olbrzymich księgozbiorów, wiekowych zabytków czy nawet całych dzielnic historycznych było czymś powszednim — nie krzyczymy z oburzenia. Francuzi krzyczą! I Belgowie!

Przede wszystkim więc Bibliotece Polskiej przyszły z pomocą francuskie i belgijskie koleżanki. Świat bibliotekarski na zachodzie Europy pamiętał jak gorąco Polacy przejęli się po tamtej wojnie sprawą lowańską. Jeden z pierwszych apeli w tej sprawie podpisany był przez prezesa P A U Kazimierza Morawskiego oraz przez prymasa Polski, kardynała Dalbora. W nowoutworzonym księgozbiorze belgijskim widniały liczne dary polskie, a na nich napis: „Bibliothecae Universitatis Lovanensis a barbaris exustae nunc vero restauratae". Z myślą o pomocy dla polskiej Biblioteki zorganizowano specjalną instytucję. Zawiązek jej powstał po pierwszym zebraniu francuskich bibliotekarzy. Na czele jej stanęli G. Duhamel, Camille Gronkowski, honorowy konserwator muzeów miasta Paryża i były konserwator Petit Palais, oraz admirał Lacaze z Francuskiej Akademii. W skład dyrekcji weszli Jean Laran, dyrektor administracyjny Bibliothèque Nationale, wspomniany H. de Montfort oraz p. Pułaski. Apel uczonych i pisarzy francuskich, skierowany do świata cywilizowanego w sprawie Biblioteki Polskiej w Paryżu podpisali: biskup koadiutor paryski R. Beaussart, Marcel Bouteron (dyrektor naczelny bibliotek Francji, członek Akademii, słynny balzakista, przyjaciel Boya-Żeleńskiego, którego odwiedził w Polsce na parę lat przed wojną), książęta Maurycy i Ludwik de Broglie, (słynni fizycy, członkowie Akademii), Charles-Roux, prezes Akademii Nauk Moralnych i Politycznych, hrabia D'Harcourt, dyrektor Instytutu Katolickiego w Paryżu, członek Akademii, kardynał Paryża Suhard, Julien Weil, wielki rabin Paryża, margrabia de Valous, dyrektor biblioteki św. Genowefy. Oto kilka nazwisk wybranych z ogromnej listy*).

Powoli wnętrza Biblioteki powracają do ładu. Na górnych piętrach oczyszczono już i odnowiono kilka sal. W jednej z miejsca zorganizowano bardzo miłą Wystawę Mickiewiczowską. Można na niej oglądać prócz licznych, budzących wzruszenie pamiątek, nieznaną replikę rysunku, który przedstawia Mickiewicza we Florencji przemawiającego z balkonu (czasy Legionu). Ta wystawa, nieomal na gruzach, robi przejmujące wrażenie. Poćwiartowany, rozbity, pokiereszowany organizm ożywa. Doprawdy! Żeby być polską instytucją — gdziekolwiek — nawet na tak dalekiej zagranicy, trzeba mieć zdrowie! Biblioteka je ma!

**Tadeusz Breza**

*) Resztę ich znaleźć można w drukowanej jako rękopis odezwie pt „L'oeuvre internationale de secours à la Bibliothèque Polonaise de Paris dévastée par les Allemands en 1940". Paris, 1945. (str. 40).

JAN WALCZAK

# Niedoszłe powstanie sprzed 70 laty

W r. 1939, w przededniu zawieruchy wojennej, wyszła ciekawa książka, która zginęła wówczas w rozgwarze wydarzeń, zwiastujących nadchodzącą burzę, ale która mimo to zasługuje na uwagę ze względu na omówione w niej wydarzenia polityczne; dotyczy ona mało dotychczas znanego okresu dziejów naszej myśli politycznej. Książka ta to Stefana Kieniewicza „Adam Sapieha" (Lwów 1939) a epizod, który na jej podstawie pragniemy tu przypomnieć, to dzieje „Konfederacji Narodu Polskiego" z 1876—1878 r. i niedoszłego ówczesnego powstania. Ciekawy ten epizod, znany już urywkowo z prac Rawity-Gawrońskiego, Lewaka, Chołoniewskiego, Krzemickiej, w pracy Kieniewicza, w świetle nowych źródeł archiwalnych, nabrał nowego oblicza, które sprawia, że chociaż oderwany i nieznany, nabiera on dużo większego, niż to pozornie się zdaje, znaczenia, nie dla samego faktu historycznego, ale dla nauk, jakie z niego można wyciągnąć, przedstawiając drogi i bezdroża, na które nieraz wchodziła polska myśl polityczna.

I

Aczkolwiek upadek powstania styczniowego niejednego nauczył krytyczniej się odnosić do wiary we wszechmocną i cudowną „pomoc z Zachodu", aczkolwiek otrzeźwił nieco entuzjastów wierzących w cuda z dnia na dzień, w magiczną broń, wszechmoc konspiracyj, to jednakże nie brakło w dalszym ciągu ludzi odurzających się tego rodzaju mistyczno-konspiracyjną atmosferą, lubujących się w „robotach mafijnych", wielkiej polityce, w mrokach konspiracji. Konspiracja ma swój urok, jest zaraźliwa, niejeden, który raz ją poznał, trudno już się od niej odrywa. Musi ona tylko mieć swoją atmosferę. Depresja po upadku powstania styczniowego dławiła wszelką myśl konspiracyjną. Jednak w miarę jak depresja mijała, znów powstawał grunt podatny dla konspiracyjnego mistycyzmu, znów rodziły się tęskne oczekiwania czegoś wielkiego, nieznanego, „cudu z krakowskiego gościńca".

Takim momentem był kryzys dokoła kwestii wschodniej, który zaczął się wojną serbsko-turecką w r. 1876. Dokoła tej sprawy toczyły się rozgrywki dyplomatyczne, dziś dopiero do gruntu znane, dzięki odkryciu tajników archiwów. Naiwnej jednak opinii polskiej ukazywały się one znacznie prościej. Przeciętny czytelnik gazet w Polsce, nieświadomy tajników angielskiej polityki, wyobrażał już sobie, że Turcji zależeć będzie na wywołaniu w Polsce powstania, które by zaszachowało armię rosyjską mogącą śpieszyć na pomoc Serbom, że powstanie to oczywiście liczyć będzie mogło na pomoc Anglii, która przecież rzekomo stoi za Turcją, że Rosji przeciwstawi się Austria i to właśnie przy pomocy nie kogo innego, ale Polaków, no i wreszcie, że za Polakami stałby z całą potęgą swych klątw i encyklik Watykan, rozgoryczony na Rosję za prześladowanie unitów na Chełmszczyźnie. „Rzeczywistość" — pisze Kieniewicz — „była wcale inna. Austria związała się potajemnie z Rosją carską i szła z nią ręka w rękę. Turków popierała nie Anglia ale sam Beaconsfield, działający za plecami swych kolegów z gabinetu i wcale nie zdecydowany na wojnę. Polakom pozostawała platoniczna sympatia Piusa IX — oraz Turcja skazana na defensywę, a więc niewiele mogąca im pomóc. Szanse obcej pomocy dla powstania były w r. 1877 o wiele mniejsze, niż się to na pozór zdawało i to podstawowe nieporozumienie zaciążyć miało nad całą akcją ówczesną".

Tę atmosferę pełną napięcia, oczekiwania czegoś niespodziewanego postanowili wykorzystać ludzie „nieznani i niepoważni, po części naiwni, po części wyraźnie szkodliwi". Byli to epigoni rozmaitych drugorzędnych robót powstańczych, konspiracyjnych czy emigracyjnych z 1863 r., między innymi Wacław Wołodźko, pisujący powieści „orientalne" jako Koszczyc, oraz Władysław Kulczycki. O pierwszym mówi Kieniewicz: „Dziwny to typ maniaka konspiracji, ponoszonego przez chorobliwą fantazję; słaby związek spisku rozrastał mu się w oczach w organizację tajną całego narodu; gotów był przysiąc, że krocie tysięcy chwytają już za broń, że Europa cała idzie powstaniu z pomocą. Zarozumiały, podejrzliwy, namiętny w słowie i geście zgrywał się Koszczyc na Mierosławskiego; pozostał wodzem narodu tak długo tylko, póki z maluczkimi miał do czynienia". A jego towarzysz hrabia Sas-Kulczycki? „Ciekawa to też figura politycznego hochsztaplera" — pisze Kieniewicz. W r. 1864 był „posłem" ostatniego, już po Traugucie, fikcyjnego zresztą zupełnie „rządu" przy Watykanie, „pisywał przy okazji poezje i krytyki, pośredniczył przy sprzedaży tytułów i orderów... Nieustannie przy tym „pracował dla Polski" zasypywał listami kraj i emigrację, trąbił o swych zasługach dla sprawy". Był to w gruncie rzeczy snob, uważający się za hrabiego i ostatniego potomka Jadźwingów!

Tacy to ludzie, do których przyłączyło się paru dobrej woli, ale naiwnych patriotów, czasem weteranów dawnych robót spiskowych, jak Giller czy Brzozowski, czasem młodych zapalonych głów jak ów fantasta Grzegorzewski, potem korespondent pism polskich w Bułgarii, orientalista i założyciel jednego z pierwszych pism w Zakopanem, w pelerynie i portkach góralskich wędrujący po Tatrach, zapalona głowa, blagier i fantasta, — postanowili wyzyskać polityczne niedoświadczenie społeczeństwa i jego bezsprzeczny patriotyzm, ofiarność i skłonność do wyrzeczeń dla szaleńczej akcji, w której postanowili wszystko rzucić na szalę, aby zaspokoić swe nienasycone ambicje polityczne. W tym celu utworzyli podziemną „Konfederację Narodu Polskiego". Nazwa była szumna i pretensjonalna. Miało to być coś w rodzaju rządu narodowego z 1863. A więc zaczęła się zabawa w fikcyjne, podziemne państwo. Ustanowiono szereg urzędów, stanowisk, obsadzano fikcyjne województwa, wydawano szumne odezwy do narodu i zagranicy, mianowano dyplomatów. „Konfederacja" ustanawiała wspaniałomyślnie nowe granice i była dla zagranicy wyjątkowo hojna. Anglii ofiarowano wyspy bałtyckie i Kronstadt, Danii Szlezwig, Szwecji Finlandię a Turcji Krym i Kaukaz. Ta wszechpotężna konfederacja okazała się jednak tak mało zasobna w fundusze, że gdy trzeba było wysłać kuriera do Stambułu, brakło na to pieniędzy... Pozostałaby ona nieszkodliwą zabawką paru ambitnych, pławiących się w konspiracyjnej atmosferze emigrantów, gdyby nie rola czynników zewnętrznych, czynników trzecich, które pojęły w lot, że wygranie śmiesznej imprezy konfederackiej może być ważnym atutem w zawiłej i skomplikowanej grze dyplomatycznej.

II

Horyzont polityczny w ciągu 1877 roku stale się zaciemniał. Dokoła sprawy wschodniej gromadziły się chmury. Przebąkiwano powszechnie o wojnie. Na Bliskim Wschodzie zarysowywał się konflikt interesów carskiej Rosji i prowadzonego przez lorda Beaconsfielda imperializmu angielskiego. Ale Anglia ani myślała o poważnym angażowaniu się w konflikt wschodni. Dla niej korzystne było tylko stworzenie tam takich dla Rosji trudności, które by ją zmusiły do zajęcia uleglejszego wobec Anglii stanowiska. Była to więc na zewnątrz polityka wybitnie pokojowa. „Nadzwyczajny wysłannik angielski lord Salisbury" — pisze Kieniewicz — „trzymał ostentacyjnie z Ignatiewem (ambasadorem carskim) i uważał, że tylko solidarny front mocarstw może skłonić Portę do ustępstw i zażegnać wojnę". Ale poza tym działały — z czyjego ramienia? — jakieś inne czynniki, które uprawiały wręcz przeciwną politykę, podsycały Turcję przeciw Rosji, obiecując jej poufnie wszelkie poparcie. Tym czynnikom była jakby na rękę polska impreza konfederacka.

Konfederacja, ukonstytuowana we Lwowie, rychło postanowiła nawiązać łączność z Turcją, dokąd wysłano kuriera, z urzędowym aktem, w którym konfederacja oferuje swe usługi podejmując się wywołania powstania w kraju i żąda za to przysłania jej odpowiedniego uzbrojenia i wyekwipowania. Niestety szumny ten akt nie mógł być przez nikogo podpisany, bo jakże przyznawać się, że „konfederacja" nie reprezentuje znanych nazwisk, że za całym tym szumem kryje się tylko paru politycznie zbankrutowanych hochsztaplerów? Osłonięto to więc niby tajemnicą, zapowiadając, że za konfederatami stoi jak jeden mąż cały naród. Turcja wrzuciłaby ten cały memoriał do kosza, gdyby nagle nie zjawił się ktoś, kto postarał się, aby akcje konfederacji nabrały u rządu tureckiego odpowiedniego kredytu. Tym kimś był tajemniczy agent angielski Johnston. Był to arystokrata angielski, chorujący na turkofilizm i odgrywający na Wschodzie dość tajemniczą rolę. Rzekomo wysłannikiem rządu nie był, ale sam dawał do zrozumienia, że jest przedstawicielem najskrytszych tendencji Anglii. On to potajemnie podsycał Turcję, on też wszedł zaraz w kontakt z Polakami, dla których była to nie byle jaka gratka. Oczywiście, że Polacy rychło nabrali przekonania, że wojna angielsko-rosyjska wisi na włosku, że Anglia nie ma nic lepszego do roboty niż organizowanie w Polsce powstania i zaopatrywanie go w broń... Sugestie Johnstona uważano za murowane inspiracje rządu angielskiego. Gdy więc na wiosnę 1877 roku rzeczywiście wybuchła wojna rosyjsko-turecka, stanowisko konfederacji znacznie się wzmocniło. I choć Turcja nie tylko nie wkroczyła na Podole z rozwiniętym sztandarem polskiego powstania, ale defensywnie wycofała się za Dunaj, a o wojnie angielsko-rosyjskiej nie było ani słychu, mimo to politycy z konfederacji „wiedzieli najpewniej", „z najpewniejszych źródeł", że to wszystko jest z góry ukartowane, że do wojny i tak dojdzie i biorąc sugestie Johnstona za dobrą monetę, w dalszym ciągu coraz głębiej brnęli w stworzonych przez siebie fikcjach. „Stawało się jasne" — pisze w ocenie tych wypadków znany działacz narodowy i historyk, autor „Ducha dziejów Polski", Antoni Chołoniewski — „że dwa mocarstwa zainteresowane w przysporzeniu Rosji jak najwięcej kłopotów w domu, nie cofną się przed użyczeniem awanturniczej polityce konfederackiej daleko idącego poparcia, które wystarczy do rozlewu krwi w Polsce". Teatralna początkowo zabawa, nieszkodliwa dopóki chodziło o rozdawanie kasztelanii i województw in partibus infidelium, obecnie, po podejrzanie gorliwych zabiegach Johnstona i po objawieniu przez rząd turecki gotowości dostarczenia powstańcom broni, zaczęła nabierać poważnego znaczenia i mogła grozić katastrofą. „Przez cały rok wisiało nad krajem niebezpieczeństwo ruchawki powstańczej" — pisze Chołoniewski. — „Powtórzyć się miały wszystkie dawne złudzenia i błędy, miały przyjść nieodpowiedzialne organizacje, uzurpujące sobie przywileje władzy narodowej, odżyć rachuby na pomoc zagraniczną, a w kręgu ruchu porwana być miała pewna część społeczeństwa zbyt mała, aby zamierzonego celu dokonać, wystarczająca przecież, by wywołać katastrofę, mogącą pogrążyć kraj we krwi i gruzach".

Nie orientując się, że są ślepym narzędziem bardzo śliskich manewrów, działacze „konfederacji" dali się uwieść zabiegom Johnstona. Chodziło teraz o rozszerzenie ram konfederacji, o nadanie jej wyraźniejszego oblicza, o realizację jej zamiarów. A więc po pierwsze, chodziło tu o wywołanie powstania w Polsce, po drugie, o utworzenie jednostki polskiej, która by walczyła przy boku Turcji. Ale zapobiegliwy Johnston wciągał poza Turcją inne jeszcze czynniki. A więc świat katolicki, który szedł teraz na pasku jego koncepcji z racji prześladowania w Rosji unitów. Johnston nawiązał kontakty z katolikami angielskimi (kardynał Manning) i zorganizował pielgrzymkę polską do Rzymu, która przybrała charakter manifestacyjny. Przyjęcie pielgrzymki było bardzo gorące, ale — jak pisze Chołoniewski — „podczas bytności w Rzymie spostrzeżono wśród oficjalnych przewódców pielgrzymki, że nieznane ręce przygotowują potajemnie akt polityczny, którego pielgrzymka ma się stać bezwiednym narzędziem". Widocznie był ktoś, komu zależało na tym, aby rozpowszechniać potem wersję przemówienia papieża o wybitnie politycznym zabarwieniu. „Jakie były prawdziwe stosunki Beaconsfielda z katolikami, tego nie wiemy. Prywatna akcja antyrosyjska była dlań bardzo dogodna, bo go też nie wiązała... Głównym wykonawcą tych planów był już w maju 1877 roku Butler Johnston, który sam przez się niewiele miał z katolicyzmem wspólnego. Rozporządzał on znacznymi funduszami, które mogły iść równie dobrze z brytyjskich funduszów dyspozycyjnych, jak i z prywatnych kieszeni możnych angielskich konwertytów".

Aby więc ramy ruchu rozszerzyć, zwołano do Wiednia z inicjatywy Johnstona „konspiracyjny" zjazd działaczy polskich i ich sympatyków. Kogo tam nie było? Był i Koszczyc i Kulczycki, i były szef „Korespondencyjnego Biura Prasowego Polskiego" w Stambule, doradca sułtański i agent tureckiego wywiadu Oksza-Orzechowski, i były członek rządu narodowego z 1863, obecnie organizator Komitetu Polskiego w Budapeszcie, zausznik i informator Andrássego Gołembreski i wysłannik sułtana Zwierchowski, rzekomo szpieg pruski i carski w jednej osobie, następnie Zygmunt Kaczkowski, znany powieściopisarz, płatny sługa tajnej policji austriackiej, denuncjant organizacji podziemnej we Lwowie w 1864, który „ofiarowywał swe usługi wszystkim naraz stronnictwom polskim, wszystkim państwom europejskim, a potem sprzedawał swe usługi więcej dającemu" (Kieniewicz). Obiecywał on w tym czasie Andrássemu, że ujmie w swe ręce cały spisek polski. Niby dla celów propagandy antyrosyjskiej kupił wiedeńską „Morgenpost" i brał na to pieniądze z ambasady tureckiej. „Dekował się po mistrzowsku, rodacy widzieli w nim zasłużonego patriotę i chętnie czytali jego historyczne barwne powieści". Do tego wywiadowczego towarzystwa doszło jeszcze paru uczciwych patriotów, ale fantastów czy teoretyków, żyjących fikcjami emigracyjnymi jak Władysław Plater z Muzeum w Raperswilu, który „zasypywał całą Europę setkami listów na wielkich niebieskich arkuszach z Orłem i Pogonią i zbawiał w ten sposób ojczyznę" (Kieniewicz), następnie Karol Brzozowski, poeta, autor „Nocy strzelców w Anatolii", wówczas konsul hiszpański w Latakieh; przybyło też na zwiady paru działaczy poznańskich z Guttrym i Niegołewskim. Ale za to licznie reprezentowana była zagranica: był tam i Johnston i przyjazny Polsce wielki wezyr turecki Midhat-pasza, i legitymista francuski hr. Bréda, i dawny towarzysz Kossutha, żądny nowych laurów Klapka, i jacyś katolicy an-

delscy. Zjazd był „konspiracyjny", ale wiedział o nim wywiad austriacki, rosyjski, turecki i inne, zresztą jakże mogło być inaczej, skoro uczestnicy mieszkali jawnie w wytwornych hotelach, za wiedzą policji austriackiej i tylko dla pozorów otaczali się atmosferą „konspiracyjną", która Polakom bardzo odpowiadała.

Na zjeździe uchwalono utworzenie ni mniej ni więcej tylko „rządu narodowego". Był rząd tajny w 1863, dlaczegóż więc nie miałoby go być i teraz? Że warunki były zupełnie inne, z tego zapalone lub niedouczone głowy nie zdawały sobie sprawy. Atoli znaleźli się ludzie, którzy poczuli w lot niebezpieczeństwo grożące narodowi z tego rodzaju niedowarzonej imprezy, z której ktoś inny kosztem naszej krwi miał wyciągać gruszki z popiołu. Do nich należał będący przedmiotem książki Kieniewicza, Adam Sapieha.

III

Potomek znakomitego rodu, Adam Sapieha był nieprzeciętną postacią. W r. 1864 przywódca organizacji podziemnej we Lwowie, zyskał sobie przydomek „czerwonego hrabiego" i popularność dzięki wyprowadzeniu w pole policji austriackiej i ucieczce z więzienia lwowskiego do Rumunii. Typ magnata polskiego, model Matejki do jego Witolda w „Grunwaldzie", ojciec obecnego sędziwego metropolity krakowskiego i kardynała, brał udział we wszystkich wybitniejszych poczynaniach narodowych. Jego wysunięto też na prezesa wyłonionego z tej cudacznej wiedeńskiej konferencji rządu narodowego. Sapieha nie od razu zdecydował się, ale w końcu przyjął tę funkcję. Postać księcia znacznie wyrastała ponad małych twórców „konfederacji". Sapieha ogarniał horyzont znacznie szerzej. Zdawał sobie sprawę, że chodzi tu o wielką grę, której konfederacja jest tylko nędznym narzędziem — grę, w której na szalę rzucona będzie nasza krew, nasza gotowość do czynu zbrojnego, aby ktoś inny mógł potem realizować swoje cele. Przypomnijmy sobie co to był za moment: w lecie 1877 r. armia rosyjska maszerowała przez Bałkany w kierunku Konstantynopola. „Anglia — pisze Kieniewicz — chciała teraz za wszelką cenę onieśmielić Rosję i zmusić ją do zatrzymania się w pół drogi... Stąd ponawiane od maja próby wciągnięcia Austrii do udziału w demonstracjach antyrosyjskich. Ale Andrássy usuwał się od współpracy..." Trzeba więc było szukać nowych możliwości! „Tym samym dla polityki brytyjskiej nabierała nagle żywotności sprawa polska" (Kieniewicz).

Oczywiście sprawa polska miała być tylko małym atutem, którym polityka brytyjska chciała zagrozić Rosji, tak jak groziła jej tysiącznymi drobnymi szantażami w Persji i Afganistanie, na Bałkanach czy Bałtyku. Atut polski potrzebny był tylko chwilowo do tej gry, aby potem schować go pod sukno. Zresztą polityka angielska nie dawała nawet gwarancyj, aby jej potem nie oskarżano o niewypełnianie zobowiązań. Ze strony angielskiej nie było żadnych poręczeń poza mglistymi i nieoficjalnymi sugestiami Johnstona. Ale Polakom to wystarczało. Z małych wypowiedzi, z jakichś niedomówień urabiali sobie opinię, że oficjalna polityka Anglii będzie ich popierała, że otrzymają broń i pieniądze...

Jednak dla ludzi rozsądnych nie ulegało wątpliwości, że wybuch powstania w lecie 1877 byłby dla Polski tylko katastrofą. Zabór rosyjski jęczał pod najgorszym terrorem Hurki i Apuchtina, wszelka dywersja na tyłach armii rosyjskiej skończyłaby się krwawą masakrą miejscowej ludności i tak dziesiątkowanej wskutek prześladowań. Nie było obiektywnych szans dla jakiegokolwiek ruchu zbrojnego na terenie Polski. Sprowadzenie broni poprzez tysiące kilometrów, poprzez pilnie strzeżone granice, można było dokonać tylko w fantazji, której ulegały jednostki o podobnie niedowarzonych głowach jak Koszczyc czy Kulczycki, bądź też prowokatorzy i obcy agenci, którym obcy był polski interes narodowy. Przesunięcie frontu wojennego na Wschodzie na Szipkę i Plewnę sprawiło, że realnych szans dla sukcesu akcji zbrojnej w kraju nie było i jakikolwiek wybuch skończyłby się katastrofą, z której nie my wyciągalibyśmy korzyści.

Czy zdawał sobie z tego sprawę Adam Sapieha, gdy obejmował „przewodnictwo" w „Rządzie Narodowym"? Może z początku wierzył jeszcze, że uda się z tego coś wykrzesać. „Dopiero później, gdy prysną iluzje, książę ocknie się i zacznie rejteradę". Rzeczywiście książę na serio zabrał się wpierw do zbadania realnych możliwości powstania. Porozsyłał emisariuszy, konferował z cudzoziemcami, nawiązywał kontakty, badał i rozważał. Rychło doszedł do wniosku, do którego doszedłby każdy, kto miał wtedy pogląd niezamącony fikcjami, marzeniami o władzy i legendą Wernyhory o Turku mającym konia napoić w Horyniu. Trzeba więc było skręcić kark tej awanturze. Ale jak? Usunąć się, znaczyłoby to oddać znów władzę szaleńcom, którzy pójdą na lep Johnstona. Sapieha przyjął taktykę skierowania sprawy na inne tory. Przerzucił ciężar roboty z planów ruchawki zbrojnej w kraju na projekt dywersji na tyłach armii carskiej, w Rumunii. Połączone to było z akcją węgierskich niepodległościowców, z planami Klapki. Mianowicie cypel Siedmiogrodu, komitaty Csik i Háromszék wrzynały się w Rumunię, gdzie stały wojska carskie. Przy pomocy miejscowej ludności, znanych z patriotyzmu w 1849 Szeklerów, postanowiono zorganizować wyprawę, która by dokonała szeregu dywersji na tyłach armii rosyjskiej. Dowódcą wyprawy szeklerskiej miał być obrońca Komárom z 1849, Klapka. Dla Sapiehy wyprawa szeklerska miała ten atut, że nie narażając kraju, pozwalałaby wywiązać się pozornie z zaciągniętych zobowiązań.

Zresztą wyprawa szeklerska nie doszła do skutku. Została „wsypana" w całości. Przez kogo? Kieniewicz podaje Czecha Kuczerę, który jako rzekomy dawny podkomendny generała Bosaka wkręcił się do legionu szeklerskiego i zdradził wszystko policji austriackiej. Nawiasem dodajmy, że istnieje i inna, nieznana Kieniewiczowi wersja o „wsypaniu" siedmiogrodzkiej awantury. Historyk rumuński Minea w artykule „Manifestacje polityczne węgierskie a wojna rosyjsko-turecka z 1877—1878" w rumuńskim piśmie historycznym „Cercetarii Historice" (1928) podaje, że tym, który spostrzegł pierwszy przygotowania do wyprawy w Siedmiogrodzie, był Rumun Crainic, który zameldował o tym rumuńskiemu ministrowi Rossettiemu, a ten Gorczakowowi. Ujawniono to w dzienniku „Românul" z 8 maja 1892. Stamtąd czerpał swe wiadomości węgierski historyk wyprawy Szadeczky w nieznanej ani Kieniewiczowi ani Lewakowi pracy o niedoszłej wyprawie szeklerskiej, „A szekely puccs", Budapeszt 1920. Dość, że przygotowania zostały ujawnione i policja austriacka skonfiskowała na stacji w Brassowie paki z bronią i innymi materiałami. Inne paki zatrzymano w Szczakowej. Austria zatuszowała sprawę, z której zrobiło się trochę huczku, parę osób aresztowano, ale rychło wypuszczono.

Taki był epilog wojowniczych przedsięwzięć krajowych rządu narodowego z 1878 r. Sam rząd przechodził jeszcze rozmaite koleje. Przenosił się z miejsca na miejsce, utrzymując przez pewien czas fikcję władzy. Zmieniał swój skład, aż rozleciał się zupełnie i poszedł w niepamięć. Jakieś śmieszne procesy o „zdradę interesów narodowych"(!), to smutny epilog politycznych aspiracyj niedorosłego do roli emigracyjnego rządu dusz sprzed 70 laty.

IV

Równie smutny epilog miała inna związana z tym impreza wojenna: próba utworzenia jednostki polskiej przy armii tureckiej.

Od wojny krymskiej przy armii tureckiej istniała jednostka wojskowa polska, nad którą miał pieczę Sadyk-pasza Czajkowski; po jego przejściu do Rosji zaczęła ona coraz to bardziej upadać i zatracać charakter polski. Wojna 1877—78 roku i związane z Turcją nadzieje („gdy Turek konia w Horyni napoi") spowodowały wzrost zainteresowań tym pułkiem. Czynniki „konfederacji" myślały o przekształceniu jej w Legion Polski. Na tym polu działał niejaki Artur Zimmermann, ongiś powstaniec węgierski, podówczas handlarz koni, oraz paru dziwnych ni to Szkotów ni Polaków ni Francuzów: niejaki Rochetin oraz Saint Clair, oficer angielski, ongiś kompan Grottgera w jego wiedeńskich zabawach, obecnie używany przez czynniki angielskie do podejrzanych robót. Ale ogół uchodźstwa w Turcji nie okazał entuzjazmu dla nowego, daremnego przelewu krwi. Zdołano zwerbować nieco ochotników, którzy ze sztandarem z orłem białym i półksiężycem wyruszyli na front. W morderczej bitwie pod Kyzyłar pułk został zdziesiątkowany. Jeszcze raz krew polska przelana została na marne.

Taki był koniec szaleńczych przedsięwzięć wojenno-konspiracyjno-powstańczych z 1876—1878 roku. Tylko Saint Clair i Rochetin próbowali jeszcze szczęścia i na tyłach armii rosyjskiej, w Bułgarii, usiłowali zorganizować partyzantkę przy pomocy „Pomaków", to jest Bułgarów-muzułmanów. Partyzantka ta zrazu uwieńczona pewnym sukcesem zakończyła się też niepowodzeniem. Przelana na próżno krew, tysiące wyrzutów, oskarżeń — oto bilans próby niedoszłego powstania sprzed 70 laty. A co byłoby, gdyby i w kraju doszło do wybuchu?

Z perspektywy lat 70 aż dziwne się wydaje, jak grupa ludzi bez politycznego doświadczenia, grono zapaleńców mogło porwać się do czynu w imię starych haseł, które tyle już razy zawiodły, licząc jedynie na ową mityczną pomoc zagraniczną, która nigdy nie nadeszła i opierając swe rachuby na koncepcji wojny, która nie miała wybuchnąć. A pamiętajmy, że są to już lata, w których powstaje „Narodna Wola i „Proletariat", że na widnokręgu ukazują się już nowe siły. Wskażą one drogę, która przez obalenie caratu doprowadzi do niepodległości Polski.

**Jan Walczak**

**Zaprenumerować „ODRODZENIE"**

można w każdym urzędzie pocztowym za pomocą przekazu pocztowego. Prenumerata kwartalna 87 zł.

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

KONSTANTY GRZYBOWSKI

# Rok 1975: 40 milionów Polaków — 60 milionów Niemców

Liczba Polaków na ziemiach etnograficznie polskich wynosiła w r. 1600 w przybliżeniu około 3 milionów, liczba Niemców na ziemiach niemieckich około 20 milionów. W roku 1900 Polaków było około 16 milionów, Niemców około 70 milionów. Liczba Polaków wzrosła w przybliżeniu o 430%, liczba Niemców tylko o 270%. Na długi dystans wyścig ludnościowy zmniejsza dysproporcję sił między Polakami a Niemcami. Wiek XX zaznaczył jeszcze wyraźniej to zjawisko. Cyfrze 74 milionów Niemców w r. 1930 przeciwstawiała się cyfra około 24 milionów Polaków. Przy niezmienionej nadwyżce urodzin nad zgonami mielibyśmy w r. 1945 około 76 milionów Niemców, około 28 milionów Polaków.

Ale — ludność Anglii wzrosła od roku 1600 do roku 1900 o 680%. Wzrosła tak znacznie pomimo tego, iż w tym samym okresie dziejów stworzyła wielkie społeczeństwa anglosaskie za oceanami. Gdyby ludność Polski rosła w tym samym tempie co angielska — byłoby Polaków w roku 1900 nie 16 milionów, ale 24 miliony. Gdyby zaś roczna nadwyżka urodzin nad zgonami wynosiła od w. XVII przeciętnie 10 pro mille, a więc wiele poniżej przeciętnej wieku XX, byłoby Polaków w r. 1900 około 34 milionów w roku 1950 około 47 milionów.

Rośliśmy w sile demograficznej szybciej niż inne narody Europy zachodniej i środkowej, wolniej jednak niż Anglia. Nasz przyrost naturalny był co jakiś czas niszczony katastrofami. Katastrofy szły zwykle od wschodu. Polski chłop rzucony na ogromne obszary wschodnich części państwa, między ludność obcą mu i wiarą i językiem ruszczył się lub był niszczony w powtarzających się co kilkadziesiąt lat rewoltach wewnętrznych lub wojnach zewnętrznych. Bilans naszej ekspansji wschodniej, to opanowane przez żywioł polski, dziś dopiero w całości etnograficznie polskie, Białostockie i Chełmszczyzna — po stronie dodatniej, a miliony polskich osadników straconych na zawsze między Bugiem a bez mała Donem — po stronie strat. Dziś drobne ocalałe resztki wracają, by wzmocnić żywioł polski na ziemiach rdzennie i historycznie naszych — i przekreślić wiekowy konflikt o to, czy ziemie wschodnie mają pozostać ukraińskie, białoruskie i litewskie, czy też mają być krajem mieszanym, polsko-ukraińskim czy polsko-białoruskim — i jak każdy kraj mieszany wiecznym zarzewiem konfliktów.

Dziś karta wschodnia jest zamknięta. Zapłaciliśmy drogo za zgodę, choć o wiele taniej, niż nas przez wieki kosztowały próby opanowania wschodu. Stworzyliśmy jasną granicę — nie można nie doceniać jak ciężkie było wyrzeczenie się wielu ziem i wspomnień, tak z naszą kulturą związanych, ale cena nie jest za wysoka, jeśli uzyskamy za nią zdobycie i zrepolonizowanie zachodu. Założeniami jego muszą być: brak jakiegokolwiek konfliktu na wschodzie, utrzymanie dotychczasowej linii ewolucji w stosunkach demograficznych polsko-niemieckich.

Czy Niemcy dalej się będą cofać w swej sile ludnościowej? To pytanie wydaje się zasadnicze dla dalszego rozwoju stosunków polsko-niemieckich. Jeśli wielka, siedemdziesięciomilionowa masa, stłoczona na terytorium o tyle mniejszym, będzie się dalej rozradzać — powstanie na zachodniej naszej granicy zamknięty kocioł, który kiedyś pęknie. Jeśli nasza siła ludnościowa będzie dalej rosnąć, niemiecka nadal relatywnie, może nawet w przyszłości bezwzględnie, maleć — Niemcy za lat 100 nie będą myśleć o Wrocławiu i Szczecinie, gdyż nie będą mieli sił na ich opanowanie.

Sądzić by należało, że dekadencja ludnościowa Niemiec będzie po drugiej wojnie światowej postępować dalej, że będzie silniejsza i głębsza niż przerwana sztucznie, a po części pozornie przez Hitlera dekadencja ludnościowa po pierwszej wojnie światowej.

Niemcy straciły te prowincje, gdzie przyrost ludności był największy. Straciły Górny Śląsk (nadwyżka urodzin nad zgonami w r. 1933 — 11 na tysiąc ludności), Prusy Wschodnie (12½ na tysiąc), Pomorze (10½ na tysiąc). Z prowincyj o wyższym przyroście ludności zachowały Westfalię (13 na tysiąc), ale ton nadaje przyrost ludnościowy Bawarii (9 na tysiąc), Saksonii (7 na tysiąc), czy Brandenburgii (6 na tysiąc). Ludność płodna, ludność prowincyj wschodnich, to w dużej mierze Polacy — a ich płodność będzie dziś dodatnią pozycją w bilansie ludnościowym Polski. Niemiecka zaś ludność prowincyj wschodnich, wysiedlona w nowe stosunki, przystosuje się zapewne szybko do norm demograficznych krajów, w których osiada.

Odsetek ludności miejskiej w Niemczech po utracie prowincyj wschodnich wzrośnie. Na 32 miasta ponad 100 000 ludności tracą Niemcy jedynie 5 miast. A przyrost ludności w miastach ponad 100 000 ludności — to (rok 1933) 0,4 na tysiąc (gdy w Polsce w miastach ponad 100 000 wynosił około 7 na tysiąc).

W Niemczech większy niż gdzie indziej odsetek ludności w sile wieku pozostanie dłużej niż gdzie indziej poza życiem rodzinnym — jako jeńcy wojenni przymusowo odbudowujący zniszczone przez siebie kraje. Nie tak wielki jak powinien by pozostać, ale dość wielki, by brak jego odbił się na przyroście ludności. A pamiętać trzeba, że w r. 1931 liczba mężczyzn w wieku od 10—30 lat (a więc dziś w wieku płodności) wynosiła w Polsce 38% ogółu mężczyzn, w Niemczech tylko 34% ogółu mężczyzn, liczba mężczyzn w wieku od 0 do 10 lat — 26% ogółu mężczyzn w Polsce, w Niemczech tylko 16%. Nie sądzę, by skutki wojny zasadniczo ten stosunek poszczególnych roczników do siebie zmieniły. Nasz rezerwuar ludnościowy nie tylko powiększał się szybciej, ale roczniki zdolne do rozradzania się były w nim bez porównania liczniejsze niż w Niemczech.

Niemcy są dziś krajem, mającym większy niż ich sąsiedzi odsetek kobiet i starców. Tego rodzaju układ ludności powoduje konieczność zwiększenia ilości kobiet pracujących zarobkowo, zmusza do tego brak rąk do pracy i brak męskich żywicieli rodzin. Kobieta pracująca zarobkowo w krajach cywilizacji zachodnio-europejskiej (a Niemcy gospodarczo, stopą życiową, psychologią dnia codziennego należą do tego typu) ma rzadziej dzieci i mniej dzieci, niż kobieta zarobkowo nie pracująca. Starzec — to pozycja gospodarczo deficytowa, która już nigdy, inaczej niż dziecko, nie będzie się gospodarczo rentować. Czym większa ilość starców — tym większe obciążenie gospodarcze pracujących, tym niższa ich stopa życiowa.

Niższa stopa życiowa, mniejszy przyrost ludności, to natychmiastowe skutki zmian powojennych w liczebnym stosunku płci i poszczególnych klas wieku w Niemczech. Jeśli jednak stan cofania się ludnościowego Niemiec trwać będzie nadal, skutki będą jeszcze głębsze. Zmniejszy się rentowność inwestycyj gospodarczych. Założeniem wielkiego rozwoju produkcji przemysłowej i rolniczej Europy XIX wieku była zwiększająca się liczba konsumentów, zmniejszająca się liczba konsumentów działa odwrotnie: nie ma dla kogo budować nowych fabryk i powiększać wydajność z hektara ziemi. W konsekwencji ceny ziemi spadają: spadek przyrostu ludności we Francji po pierwszej wojnie światowej był jedną z przyczyn spadku ceny z 2000 franków złotych na równowartość 300 franków złotych za hektar; przy spadku cen ziemi rolnik nie może inwestować przy pomocy kredytu. Inwestycje budowlane przestają się rentować. Ilość płacących składki ubezpieczeniowe maleje, ilość pobierających renty ubezpieczeniowe rośnie, rośnie więc obciążenie każdego pracującego z tytułu ubezpieczenia. Stagnacja i cofanie się stanu demograficznego powoduje stagnację rozwoju gospodarczego. Jeśli społeczeństwo ma jeszcze prężność gospodarczą — może zaistnieć dalsza mechanizacja przemysłu dla zaradzenia brakowi rąk do pracy, ale przede wszystkim przemysłu konsumcyjnego, bo tylko ten się rentuje. Społeczeństwo z „grynderskiego" staje się „rentierskie" a rentier jest zawsze mniej ekspansywny niż grynder.

Przyrost ludności — założenie rozwoju demograficznego Polski — wywołuje wprost odwrotne skutki. Inwestycje gospodarcze są rentowne. Budżet pracownika jest w mniejszym stopniu obciążony wydatkami na utrzymanie starszych, nie pracujących przy tej tendencji rozwojowej mniej licznych generacji, a więc stopa życiowa może wzrastać. Cena ziemi idzie w górę a więc rolnik może się zadłużać na inwestycje, dawanie kredytu rolnikowi opłaca się. Te wszystkie demograficzne podstawy rozwoju gospodarczego, które dały zachodniej Europie i Ameryce wzrost jej potęgi i jej stopy życiowej, istnieją dziś raczej w Europie wschodniej, także i w Polsce. Trzeba tylko powtarzać aż do znudzenia: muszą istnieć także takie warunki polityczne, jakie miała w tym okresie zachodnia Europa i Ameryka, to jest pokój wewnętrzny i zewnętrzny.

Klęska nie wpływa nigdy na wzrost rozrodczości — nawet gdy została po niej idea rewanżu. Zwycięstwo wpływa zawsze na wzrost rozrodczości — nawet, gdy przejściowo po nim panuje nędza. Niemcy będą długo płaciły koszty wojny, koszty okupacji, koszty załamania się wewnętrznego, bezpośrednio po szczycie swej hegemonii w Europie. Polska — jeśli będzie miała długi okres spokoju zewnętrznego i wewnętrznego — szybko zacznie korzystać z owoców zwycięstwa, z nowych bogatych prowincyj. W wyścigu ludnościowym prześcigaliśmy od wieków Niemcy, choć byliśmy w warunkach bez porównania gorszych. Dziś, gdy start jest dla nas niewątpliwie korzystniejszy, ewolucja wzajemnego stosunku sił, od wieków istniejąca, może oraz powinna zaostrzyć się i przyspieszyć.

W roku 1934 niemiecki demograf Friedrich Burgdörfer przewidywał, że przy niezmienionych warunkach rozwoju ludności — ludność Niemiec będzie wynosiła 60 milionów, ludność Polski 50 milionów. Warunki uległy zmianie. Odnośnie do Polski punktem wyjścia Burgdörfera była ludność państwa polskiego w roku 1930, dziś odpadła ludność niepolska województw wschodnich, która tylko pozornie była naszym plusem, istotnie zaś minusem; odpadła cała ludność żydowska, która mogła, przy innej polityce, przestać być pozycją ujemną.

Nasz punkt wyjścia jest pozornie, cyfrowo o wiele gorszy, w istocie, mimo strat wojennych wobec jednolitości narodowej, o wiele zdrowszy. Jeśli uda się ściągnąć do kraju choć część emigracji europejskiej i zamorskiej, możemy dojść w roku 1975 do 40 milionów ludności. Niemiecki punkt wyjścia jest dziś o wiele gorszy, choć trudno jeszcze ocenić, o ile gorszy.

Zaczynamy nowy akt wyścigu demograficznego z Niemcami. Jeśli ten wyścig uznamy za najważniejsze zadanie najbliższych generacyj — a właśnie on wydaje mi się najważniejszym zadaniem — musimy stale pamiętać, wszyscy, rząd i społeczeństwo, o założeniach jego wygrania. Założeniami tymi są: linia polityki identyczna ze Związkiem Radzieckim, spokój wewnętrzny, prymat zagadnień rozwoju gospodarczego przed wszelkimi innymi. Czyli długi okres polityki organicznej a nie polityki mocarstwowej, polityki zimnej kalkulacji a nie polityki romantycznej fantazji, polityki solidarności z sąsiadem wschodnim, którego stosunek do Niemiec jest identyczny jak nasz, a nie polityki nadziei na nowy konflikt międzynarodowy.

**Konstanty Grzybowski**

JÓZEF SIERADZKI

# Joachim Lelewel

**Ignacy Chrzanowski.** Joachim Lelewel. Człowiek i pisarz. Do druku przygotował i przedmową poprzedził **Stanisław Pigoń.** (Kraków), „Czytelnik", 1946; str. 197 i 3 nl.

Jak niejeden koryfeusz naszej nauki, był Ignacy Chrzanowski za młodych lat radykałem. „Kiedy wnet po objęciu katedry ogłosił był artykuł o nietolerancji Skargi i artykuł ten przedrukowano w socjalistycznym „Naprzodzie", zaniepokojony prof. St. Tarnowski poprosił swego zastępcę na katedrze do siebie na rozmowę, gdzie spróbował łagodnej perswazji. Nie przyniosła ona pożądanego rezultatu; na odchodnym pożegnał go Tarnowski słowami: „Pan jest straszny!" Tak opowiada Stanisław Pigoń w świetnej przedmowie do jednej z ostatnich prac Chrzanowskiego o człowieku, który zdawna uznany został za strasznego.

Arystokraci już w dniach rewolucji listopadowej zaczęli mu urabiać opinię. „Utrzymywali, żem chciał zostać dyktatorem... żem wydawał rozkazy stawiania szubienic i gilotyn, ...że rozsiewam maksymy mordercze, wpajam je w młodzież i chłopów, dla których nauki podpalackie wymyślam". I później na emigracji nie ustawali w swym dziele: „Upewniają... że protegują klubistów i łotrów, marnuję fundusze komitetów francuskich, swoim po 25 franków rozdaję, a sam dla siebie bez miary biorę".

Płaciła zresztą Lelewelowi arystokracja pięknym za nadobne. „Powstawajmy na naszą oligarchię, na pany, na bezecne hrabie i narzekajmy na arystokratów, którzy obce wojska do kraju wprowadzili, co do rozszarpania Polski się przyczynili". Brali „z rąk ujarzmicieli pensje, ordery, rangi, tytuły i honory wszelkiego rodzaju", wykazywali wobec zaborców „psią usłużność".

Z arystokracją była „w zatardze szlachta", z nią „w Polszcze jak gdzie indziej — sprawa ludu była w zatardze".

Innym źródłem podejrzanej reputacji Lelewela, jedną z głównych jej przyczyn był jego wolterianizm. Mocno uderzał polski Arouet w kościół. Zdrowy ustrój narodu został — jego zdaniem — „zawichrzony", „zarażony" i „skażony", między innymi „przez posłuszne Rzymowi duchowieństwo", „a nade wszystko przez Jezuitów". „Polityka dworu rzymskiego" przyniosła Polsce „bierną uległość", ona „wywołuje protestacje, podburza, rozognia „prześladowanie", podnieca „zawziętą nienawiść" do nauki i swobodnej myśli.

„Od chwili ukazania się jezuitów, głos potępiający ich instytucję rozległ się po całym chrześcijaństwie. Duch narodowy w Polszcze przerażony, uczuł wstręt..." „Przywdziani w sukienkę nauki i pobożności", „pochlebnym przypodobaniem się i giętkością zjednali sobie (jezuici) protekcję biskupów i wciskali się w powiernictwa i pokątne zwierzenia się rodzin". „Dobrą wiarę, sumienie, łatwowierność usidliło powoływanie do gorliwości i nabożnisiostwa". Nie posiadającemu się z oburzenia i wzburzenia Lelewelowi wtóruje Ignacy Chrzanowski, też niemały wolterianin. „W szkołach jezuickich kształciło się nowe plemię, zupełnie jezuickie", zatruwane jadem nietolerancji, ogłupiane bezmyślną hipotezą i bezsensownym sposobem nauczania, demoralizowane zasadą, że „cel uświęca środki" i innymi „wstecznymi zastrzeżeniami", zachęcane do prześladowania dysydentów i Żydów".

Odróżniamy z trudem cytaty z pism gwałtownego jakobina od soczystych słów następcy hrabiego Tarnowskiego na katedrze historii literatury. Są jednomyślni i solidarni.

Ale Lelewel zapłacił za to grubo, nie tylko Lelewel — człowiek, lecz w znacznej mierze Lelewel — pisarz. Do dziś to, co pozostawił, przynajmniej zaś część tego, okrywa ciężka zasłona. Cóż z tego, że pisma Lelewela są w bibliotekach, a o nim samym ustaliła się opinia, że był dziejopisem pierwszej wielkości. W roku 1896 napisał o nim, a w roku 1936 jeszcze powtórzył Stanisław Zakrzewski:

„Czas byłby, żeby człowiek tej miary mógł się doczekać odpowiedniej oceny w nauce i odpowiedniego uznawania ze strony społeczeństwa. Bliższe poznanie prac i osoby Lelewela mogłoby wpłynąć zbawiennie na nasze koła historyczne, przynajmniej młodzieży, mogłoby w połączeniu z innymi okolicznościami spowodować zwrot w zatęchłych stosunkach i stosuneczkach naszych kół historycznych i samej historiografii". („Rys naukowej działalności Joachima Lelewela" w „Zagadnieniach historycznych").

Czas nadszedł i dla nauki i dla społeczeństwa, by zdjąć cichą anatemę z puścizny wywrotowca.

•

Lelewel jest zjawiskiem imponującym nie tylko przez swoje 100 dzieł i artykułów, „nader treściwie i zwięźle stylizowanych, niezmierną moc wiadomości z historii w najobszerniejszym jej pojęciu zawierających" (Tadeusz Korzon, „Pogląd na działalność naukową J. Lelewela"). Nie dlatego, że był numizmatykiem i heraldykiem, geografem i dyplomatykiem, chronologiem i kartografem, historiografem i genealogiem, sfragistą, bibliografem, historykiem prawa ustrojowego i historykiem literatury. Że ręką swoją ukształtował co najmniej kilka nauk pomocniczych naszej historii, a inne wydatnie posunął naprzód. Że rozwinął pragmatyzm i pogłębił krytycyzm. I nie tylko dlatego, że w kręgu jego zainteresowań było „wszelkie działanie ludzkie, czyli kultura ludzka we wszystkich szczegółach swoich".

„Jego zdanem nie jednostki stanowią o takim lub innym rozwoju historycznym, tylko całe tłumy, całe warstwy społeczne, a cóż dopiero całe narody!" Dostrzegł to Ignacy Chrzanowski, acz nie historyk, rozumie i uznaje maksymy Lelewela, że „pojedyńczych działanie z widowni dziejowej niknie; myśl polityczna, towarzyska powoduje tłumy".

Lelewel odczuwał potrzebę **uogólnień.** Gorliwy poszukiwacz jednorazowego i niepowtarzalnego faktu i jego krytyczny badacz, w faktach szukał myśli porządkującej i prawidłowości. Wyróżniał więc w dziejach Polski okresy (samowładztwo, możnowładztwo, gminowładztwo szlacheckie, gminowładztwo szlacheckie w zawichrzeniu), dociekał „Historycznej paraleli Hiszpanii z Polską w wieku XVI, XVII, XVIII", folgował śmiałej myśli syntetyzującej.

„Przez rozumowanie dają się wyjaśniać ogólne widoki i sprężyny, ludami kierujące, przez rozumowanie śledzą się zdarzeń ogólne znamiona. Bez takiego rozbioru, poznania i urządzenia zdarzeń i czynności rodu ludzkiego nie masz historii. Ważną jest rzeczą gruntować naturę społeczeństw, stan ich polityczny, ich ekonomikę, zdolność i działalność". Było to napisane w 1818 roku, w „Tygodniku Wileńskim"; w rozprawie „Jakim ma być historyk", i szkoda, że zostało pominięte przez Ignacego Chrzanowskiego. Profesora historii literatury, mimo wielkiego wysiłku, nie stać na wgłębienie się w zagadnienia metodologii i filozofii dziejów. Poglądy te (cytujemy fragment za Korzonem) przynoszą zaszczyt Joachimowi Lelewelowi, wysuwają łowcę „ogólnych znamion zdarzeń" na czoło historyków, wprowadzają go do samej awangardy dziejopisarstwa i historiozofii.

Osobne badania wyjaśnią jeszcze, jakie wpływy umysłowe oddziaływały na niego, ile mu podszepnął Rousseau czy Herder, jak przesiąkł atmosferą duchową, z której wyrósł August Comte. Przede wszystkim trzeba z pism Lelewela wybrać rozsiane w nich bezcenne myśli, przez analizę wydobyć pogląd, który u znakomitych pisarzy innych narodów jest może jaśniej podany i lepiej ugruntowany, ale — o całe dziesiątki lat później.

Lelewel był w dziejopisarstwie światowym jednym z pierwszych **nomotetyków** i to nie tych, którzy naiwnie przeczuwali prawidłowość procesów dziejowych, lecz tych, którzy jej racjonalnie poszukiwali.

Ale i tu nie koniec. „Najważniejszego rysu epoki doszukuje się nie w tym, co się działo u szczytu państwa, co cechuje zwykle umysły dyplomatyczno-polityczne, lecz rys główny wprowadza w zbadanie stosunków społecznych — **przewaga danej klasy warunkuje w jego poglądach istnienie danej epoki".** Stanisław Zakrzewski, sam jakże daleki od wyznawania takiej historiozofii, **teorii materializmu dziejowego**, dopatrzył się w pismach Lelewela tej prawdy. Jest rzeczą zdumiewającą, że myśl Lelewela krąży około **walki klas,** tajemnicy i treści procesów i przemian. Już periodyzacja dziejów Polski wraz ze słynną konstrukcją gminowładztwa — wcale nie naiwną w swej istocie! — mówi za siebie.

„Często spomiędzy górującego ludu podnosi się **klasa,** w podrzędne spychając go stanowisko. Rozróżnia ją rychło zamożność, łatwość do ruchawego życia, pochopność do ruchawości i **zmian,** pociąg do przewodzenia, postęp, cywilizacja, odróżnienie się od powszechnego obyczaju; a lud cały zostaje odrzutkiem poniżonym, służebnym..."

Lelewel, polski prekursor nauki o walce klas, rewolucji i nadbudowie ideologicznej, wyrastającej z podstaw społeczno-gospodarczych! „Oto — wykrzykuje dziwnie tym razem uradowany jak na swoje metamorfozy Ignacy Chrzanowski — oto co poczytuje Lelewel za jedno z głównych praw, rządzących rozwojem czy to całej ludzkości, czy jednego narodu. Jest nim walka dwóch „działów" ludzkości czy narodu, działu wyzyskującego i wyzyskiwanego..."

•

**Taki** historyk musi żywić republikańskie poglądy i być demokratą. „Zatarga" z arystokracją nie jest u niego rzeczą kaprysu, jak nie była przypadkiem „zatarga" chłopów z panami. Wróg arystokracji ma dla szlachty uznanie w jej twórczym okresie, za czasów „Polski kwitnącej", od Kazimierza Wielkiego do elekcji Zygmunta III — i wyrzuty w chwili uchwalania Konstytucji 3-go Maja. Ileby to siły przysporzyło Rzeczypospolitej, gdyby szlachta „zdołała była ożywić i dźwignąć najmożniejszą i najpracowitszą **klasę".**

Byli nią wtedy chłopi.

Do dziś nie mamy historii społecznej Polski, a dzieje ruchów społecznych pozotały nietknięte i na sprawach tych wiszą pieczęcie niezbadanej tajemnicy. Lelewel był nie tylko bliski tego ważnego postulatu, lecz brał się czynnie do dzieła. „Dzieje Polski, które stryj synowcom swoim opowiadał", „Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej", choć (te ostatnie) wyszły w roku 1854, mają większy walor społecznej aktualności, niż dziś w szkole używane podręczniki. Pomstował na Jana Kazimierza, iż ślubu „że odtąd ze wszystkimi stanami po odzyskaniu pokoju użyję sposobów, aby lud mój uwolniony był od wszelkich ucisków i nadużyć" — nie dotrzymał. „Czcza przysięga przed ołtarzem i Bogiem wyrzeczona przez króla i ludzi bez wiary!" („Przysięgi Tyszowieckich konfederatów"). Nie „bunt kozacki" widział, lecz „powstanie ludu" na Ukrainie, gdy do naszych dni nauczyciele wraz z uczniami zachwycają się za Sienkiewiczem księciem Jeremim, przedstawicielem programu batożenia czerni. „Od sześciu wieków podobnego Polska nie widziała, od Masława aż do Chmielnickiego nic tak powszechnego nie zaszło. Lud od kozaków powołany wspólną z nimi ma sprawę, jest czynnym. Rzadki w dziejach widok, widok wspaniały, przerażający, tym więcej zajmujący nas, gdy w upływie wieków nie widzieliśmy tylko postęp ucisku, a cierpliwe jego pocieszanie". Kuzynowi Sienkiewicza, Chrzanowskiemu, nie łatwo jakoś przychodzi wspominać to, jak innym znów razem Lelewelowskie „Wieca królowej Polski w Sokalu", nader dla kościoła niemiłe, wydają mu się „niezbyt fortunne": są dla Chrzanowskiego zbyt jaskrawe.

Krytyczny, samodzielny i mądry zrywał Lelewel z utartymi poglądami. Wystarczy ukazać to na przykładzie „wiktorii wiedeńskiej". Jan III „poszedł sam pod Wiedeń i pamiętne 1683 odniósł zwycięstwo i przegnał Turków do Węgier. Wielką tedy Austrii zdziałał przysługę, dla Polski, dla siebie nic nie pozyskawszy". Jego prace historyczne roją się od odkryć. „On jeden z pierwszych otworzył oczy społeczeństwa polskiego na różnice dzielące je od świata zachodniego, pierwszy doszukał się elementów dziejów polskich nie w wpływach Zachodu (choć im nie zaprzeczał), ale w prastarym bycie słowiańskim" (Zakrzewski).

Z rozważań nad arystokracją i ludem wynika u niego świetna myśl, teza dla osobnego studium, którego dotąd nikt nie napisał i **synteza** polskiego średniowiecza:

„Nie niewolnictwo wschodnie na Polskę działało, ale system uniewolniania feudalny zachodniego feudalizmu; chociaż system ten był podważony i zachwiany w krainach, w których się narodził, z tym wszystkim długo jeszcze zgubnymi wyziewami nie przestał zarażać krainy feudalizmu nie znające". Mądrzejsza o wiele dziesiątków lat nauka historyczna w Polsce powiedziałaby dziś lepiej: „krainy, które znały feudalizm, acz nie w jego klasycznej postaci". Byłaby to poważna poprawka, lecz nikt nie miałby wzroku ostrzejszego niż ta sowa, jak pisał o nim Maurycy Mochnacki, „co im ciemniej i odleglejsze czasy w historii, tym on lepiej widzi". Z historyka wyrastał publicysta, z publicysty historyk. „Polski Diogenes", choć w polityce miał niezbyt szczęśliwą rękę, kształtował myśl historyczną w naukowych pracach, broszurach i przemówieniach. Przysypane pyłem, odsunięte, rozmyślnie zapomniane stronice jego pism błyszczą od rozrzuconych klejnotów, sentencyj, które w naszym odstałym kraju, wciąż zatęchłym, broniącym się uporczywie przed światłem rozumu, odgradzanym od prawdy przez frazes i zmyślenie, mistyfikację prawdy i jej wykrzywianie w ciągu dziesiątków lat — mają pełną wartość.

„Żyjemy w wieku rewolucyjnym, odmian, ulepszeń towarzyskich. Nie ma dziś kącika w Europie, który by nie był na tym stopniu, nie był — jak mówią — wulkanem rewolucyjnym. Od ujścia Tagu do ujścia Wołgi, równie we Francji, jak w Turcji, w Niemczech, w Grecji, w Rosji, tleje duch niepokoju, dla wszystkich klas domagający się ulepszeń wolności, wyzwolenia ludzkości. Skoro taki jest bieg ludzkości, żadna siła nie wstrzyma, aby to wyzwolenie i zaświtanie wolności ludów rychło nastąpić nie miało".

„Matko, ojczyzno! **doznajesz opóźnienia,** bo niebaczne twe dzieci karmią na twym łonie wyrodków, których się wyrzekasz, ludzi ladaco, co Twej sprawie szkodzą". Czyżby to ktoś, nam współczesny, ułożył aforyzm, dla niepoznaki zarchaizowany, dla bieżącej propagandy? Nic podobnego! To tylko cytata z „Przemówienia w rocznicę powstania 9 listopada", wygłoszonego w roku 1847, w którym „anarchista" modlił się gorąco:

„Święta miłości kochanej ojczyzny! prowadź prawe kroki swych dzieci, aby sobie samym kłamstwa nie zadawały! Otwórz oczy zbłąkanym owieczkom, aby rozróżniły chytre lisy i wilki drapieżne, owczą skórą pokryte..."

„Patriarcha historii polskiej" — był politycznym mentorem narodu:

„Rozważajcie tedy, dzieci polskie, na czym wolność i towarzyska naprawa zależy; uważcie co tej naprawie zawadzało, a która klasa mieszkańców ojczyzny waszej najbardziej ulepszeń potrzebuje i największych sił dostarczyć może, gdy nie rozkazem, ale przekonaniem i własnym popędem o niepodległość Polski dobijać się pocznie".

Przepowiadał:

„Oh! nie w dyplomacji, nie w pomocy gabinetów przyszły los Polski leży, **lecz w powstaniu i wyzwoleniu ludów.** Przyszła budowa Polski we własnych posadach, we własnych zdolnościach i siłach a najwłaściwsze i najlepsze żywioły znajdzie. **A pierwszy lud co się zerwie i dobijać o swe wyzwolenie zacznie, jest sprzymierzeńcem Polski.** Nie potrzeba jego pomocy, ale braterstwa i przymierza, w tym sposobie równie on narodowi polskiemu, jak naród polski jemu, pomocą będzie. Czas do tego wszystko przyrządza..." („Polska odradzająca się").

Jak uczył i perswadował, tak umiał karcić i unosił się. „Poniósł Lelewela (jak często) temperament, ale że główna myśl tych słów jest słuszna, na to dzisiaj chyba już każdy się zgodzi, o ile nie jest łotrem, albo idiotą".

To znów poniosło Joachimowego monografa. To Ignacy Chrzanowski zrzuca z serca gniew wezbrany na kołtunów otaczających go wokoło. Ma rację prof. Pigoń: Chrzanowski w niejednym był bliski Lelewelowi, „przez pokrewne wzajemne rysy charakteru". Ale talentem i wielostronnością nie dorównywał wodzowi „polskiego dziejopisów koła". Także w postępie pozostał za nim w tyle, chociaż żył później odeń. Gdy jednak pod sam koniec życia, w poglądach swych bardzo różny od chwili, kiedy wprawiał w przerażenie hrabiego Stanisława Tarnowskiego, — pracując nad drugą częścią swej historii literatury polskiej, utonął, nie pierwszy już raz, w studiach nad ulubionym Lelewelem, uległ Chrzanowski urokowi i ideałom jakobina.

I zostawił książkę, której już sam, zniszczony przez faszystów w koncentracyjnym obozie, nie ujrzał. Opowiadanie o człowieku nie bez ułomności i pisarzu nie bez błędów, prekursorze rewolucji i duchowej emancypacji. A między kartki o Lelewelu włożył kilka jego tekstów, wydobytych z zapomnienia, które jarzą się światłem rozumu.

**Józef Sieradzki**

JULIA HORNUNG

# Współczesne malarstwo włoskie

ANTONIO VANGELLI Arlekiny

Wystawa współczesnej sztuki włoskiej w Muzeum Narodowym w Warszawie, na którą składa się około 70 obrazów 40 malarzy, obejmuje twórczość starszej generacji artystów mających już od dawna ustalone stanowisko czołowe w sztuce europejskiej oraz produkcję ostatniego dziesięciolecia najmłodszego pokolenia malarzy, które dopiero rozpoczyna swój debiut na arenie międzynarodowej i stąd mało jest znane poza granicami Italii. Dzięki udziałowi starszej generacji zyskujemy jakby retrospektywny przegląd kierunków nurtujących w sztuce włoskiej w pierwszej ćwierci XX wieku. Aby należycie uchwycić charakter twórczości włoskiej doby obecnej, należy choć w kilku słowach naszkicować obraz warunków, w jakich znalazła się sztuka włoska z końcem XIX w.

Ostatnie trzydziestolecie w. XIX uważane bywa w dziejach sztuki włoskiej za okres marazmu. Walki związane z ruchem niepodległościowym wyczerpały fizyczną i psychiczną aktywność współczesnej generacji. Po osiągnięciu celu, tj. zjednoczeniu Italii odczuwało młode pokolenie jedynie potrzebę wypoczynku po długoletnich zmaganiach i pragnienie beztroskiego rozkoszowania się życiem w wolności i swobodzie. To zmęczenie psychiczne i hedonistyczna postawa wobec życia znalazły odbicie w sztuce. Twórczość tego czasu podąża wygodną drogą eklektyzmu.

Wszystkie kierunki, które z początkiem naszego wieku nadawały ton twórczości, jak pedantyczny weryzm, nastrojowy romantyzm, pełen fałszywego sentymentalizmu prerafaelityzm oraz symbolizm o podłożu literackim oparty na patosie d'Annunzia i łagodnym liryzmie Pascoliego — odżywają raz jeszcze w najbardziej poprawnie akademickiej interpretacji. Nietwórczy epigonizm usiłuje zwalczyć grupa malarzy zwana Macchiaioli. Nazwa wywodząca się od macchia-plama charakteryzowała fakturę techniczną zbliżoną do impresjonistycznej. Reakcja ta jednakże była krótkotrwała, choć wydała jednego z najwybitniejszych europejskich impresjonistów: Segantiniego.

Dopiero hasła futurystów wstrząsnęły posadami sztuki włoskiej, zbudziły ją z letargu i skierowały na twórczą drogę. Manifest futurystów podpisany 1910 r. przez Boccioniego, Carrà, Severiniego i innych zwalczał namiętnie sztukę passeistyczną, tj. tradycyjną, w przekonaniu, że ustawiczny kult wspaniałej przeszłości artystycznej hamuje rwącą się do czynu młodą generację i przesłania widok na nowe horyzonty artystyczne. Równocześnie głosił on, że celem nowej sztuki ma być odtworzenie oblicza współczesnej cywilizacji i jej dynamicznego tempa, a osiągnąć to starał się przez ujawnienie ruchu, który tkwi potencjalnie w zjawiskach i przedmiotach.

Tym rytmem zawrotnym pulsują też obrazy Umberta Boccioni, Enrica Prampolini, Carla Carrà, Gina Severini, Fortunata Depero, Giacomo Balla i innych, w których arabeski prostych i krzywych przecinających się i zazębiających, wyzwolone z logiki prawideł naturalistycznych wirują w nieprzemijającym ruchu. Twórca i teoretyk futuryzmu Umberto Boccioni przeżywał jednak pod koniec życia głęboką rozterkę, czy podąża właściwą drogą. Odzwierciadlają to jego listy do Severiniego. Wyrazem jego niepewności i wahań jest ostrożne zbliżanie się ku sztuce naturalistycznej albo też próby kubizowania kształtów. Reprezentowany na wystawie „Portret Sylwii" powstały w 1915 r., tj. na rok przed śmiercią artysty, jest objawem tych niepewnych poszukiwań nowych form wypowiadania się. O pewnym nawrocie do naturalizmu świadczyłoby ujęcie modelu, którego kształty — pomimo kubizacji twarzy i rąk oraz geometryczno-dekoracyjnej stylizacji draperii — są rozpoznawalne.

Pozostałością niewątpliwie po futurystycznym sposobie patrzenia jest kolorystyczne niezróżnicowanie postaci z otoczeniem i jej wtopienie w tło. Nieokreślona materialnie abstrakcyjna przestrzeń rozbita jest na poszczególne pola rytmicznymi akcentami falistych kręgów barwnych. Kolor ich wydobyty jest przez umiejętne niuansowanie ciemnego szafiru i delikatnej zieleni za pomocą dywizjonistycznej techniki operującej zespołem drobnych plam barwnych. Nadają one całości owo wrażenie muzycznego wibrowania.

Od futuryzmu wyszedł również Gino Severini. Lecz jego niespokojna, ruchliwa natura nie pozwoliła mu pozostać przy raz obranym kierunku. Mieszkając od 1906 r. stale w Paryżu, pozostaje w bliskim kontakcie ze wszystkimi wybitnymi indywidualnościami malarskimi owego czasu, tak że sztuka jego jest refleksem różnych tendencyj modernizmu francuskiego. Wraz z Picassem przebywa powrót do neoklasycyzmu, by z kolei dojść do surrealizmu.

Twórczość jego ilustruje na wystawie martwa natura i akt. Malarskość i barwność koncepcji dekoracyjnej w duchu Matisse'a została tu przetłumaczona na walory linearnograficzne. W „Akcie" syntetyzujące ujęcie formy ciała łączy się z lekkim kubizowaniem kształtów przedmiotów. W „Martwej naturze" przenikające się kontury naczyń i flaszek są niewątpliwie reminiscencjami epoki futurystycznej. Stalowo-szare, chłodno-zielone, zimno-fioletowe tony składają się na wytwornie stonowaną harmonię kolorystyczną.

Podobnie jak futuryzm wyrósł z podłoża sztuki włoskiej, tak i malarstwo „metafizyczne" — pittura metafisica — (znane we Francji pod mianem surrealizmu a w Niemczech pod nazwą realizmu magicznego) jest wytworem czysto włoskiego ducha, powstałym w tym samym mniej więcej czasie co futuryzm.

Dziedzina malarstwa „metafizycznego" to świat dziwny i odrębny. Jakkolwiek zbudowany z elementów rzeczywistości jest tworem sztucznym, krainą złudy i pozorów, powołaną do życia irracjonalnym kaprysem fantazji twórczej. Skojarzone na płótnie najzupełniej sobie obce i odległe elementy i przedmioty wyrwane z wszelkiego związku logicznego, znanego nam z doświadczenia empirycznego — kryją pod pozorami znanej codzienności własne „tajemnicze" życie wewnętrzne. „Tajemniczy romantyzm" tego malarstwa odsłania kompozycja figuralna Carla Carrà zatytułowana „Kąpiące się" — postaci o przeogromnych kształtach zamarłe w hieratycznej postawie z oczyma nieruchomo w dal utkwionymi. Uproszczenie kształtów i ich monumentalna plastyka — dowód jak duchowo bliskim był mu Giotto — wskazują na coraz wyraźniejsze jego skłanianie się do neoklasycyzmu.

U Giorgia de Chirico, właściwego twórcy malarstwa metafizycznego, bardziej jeszcze niż u Carrà zauważyć się daje odwrót od zbyt abstrakcyjnych form tego kierunku ku rzeczywistości obiektywnej. Ta postawa charakterystyczna jest dla ostatniej fazy jego stylu, do której doszedł przez neoklasycyzm. Dlatego też w wystawionej „Martwej naturze" zauważyć się daje brak wszelkich niemal rekwizytów malarstwa metafizycznego, którymi posługiwał się stale. Godną szczególnego uwypuklenia, poza zdecydowaną plastyką kształtów, precyzją rysunku jest harmonijne zestrojenie tonów chłodnych, błękitnego seledynu morza i szarości ryb z ciepłymi żółto-czerwono-pomarańczowymi barwami owoców i kraba, dokonane za pośrednictwem bieli obrusa.

W odmienny sposób realizuje swą koncepcję surrealistyczną Filippo de Pisis w „Martwej naturze". Na bezludnej plaży na pierwszym planie wyolbrzymione kształty warzyw i owoców. W tym osobliwym ustosunkowaniu do siebie planów, w dziwacznej złudzie perspektywicznej, dzięki której pierwszoplanowe kształty ulegają nadmiernemu spotęgowaniu, tkwi jakby pragnienie wydobycia „duszy rzeczy", nadające ów odcień niepokojącej zagadkowości malarstwu metafizycznemu. W obrazach Filippa de Pisis nie czuje się jednak zupełnie oschłej kalkulacji tak częstej w tym typie malarstwa. Przeciwnie sztuka jego jest sensualistyczna, a improwizatorska świeżość wypowiadania się zdradza głębokie odczucie walorów nastrojowych pejzażu.

GIOVANNI QMICCIOLI Wieśniak (1945)

Jakkolwiek artysta przez długie lata przebywał w Paryżu, nie uległ wpływowi modernizmu francuskiego. W sposobie wydobycia atmosfery powietrzności uwidacznia się, że sztuka jego pomimo „metafizycznej" niekiedy koncepcji wywodzi swój rodowód artystyczny z impresjonizmu. Potwierdza to wczesny, bo z 1928 r. „Pejzaż wenecki", w którym szarozielona delikatna gama barw staje się trafnie wybranym emocjonalnym odpowiednikiem marzycielskiego spokoju krajobrazu.

Rozwój sztuki włoskiej zahamowany przez wypadki wojny światowej, częściowo tylko nawiązuje do dawnego kierunku. O ile malarstwo „metafizyczne" nic nie straciło na swej aktualności, to futuryzm zbyt radykalny i bezkompromisowy, wyraźnie się przeżywa i traci swe znaczenie. Pierwszą nową tendencją, która wyraźnie zarysowuje się na horyzoncie sztuki, jest neoklasycyzm. Jest on samodzielną plastyczną interpretacją sztuki wczesnego renesansu, widzianą przez pryzmat współczesności i dostosowaną do jej postulatów. W ukształtowaniu neoklasycyzmu we Włoszech wielką rolę odegrali Ubaldo Oppi i Felice Casorati. W twórczości Casoratiego tendencje neoklasyczne walczą jednak ciągle ze śladami symbolizmu surrealistycznego. Potwierdza to obraz „Kobiety na plaży", gdzie syntetycznie zaznaczone sylwety uśpionych kobiet o nadmiernie wydłużonych ciałach związane są w rzeźbiarsko zwartą grupę.

Obok neoklasycyzmu dla tego okresu sztuki włoskiej typowe jest wchłanianie bez wyboru różnorodnych obcych wpływów. Archaizacja formy, deformacja groteskowa i prymitywizująca, dramatyczność ekspresjonizmu itd. — wszystkie te założenia, nieraz sobie przeciwne, znajdują swoich przedstawicieli i zwolenników. Daje się jednak zauważyć dążenie do poddania rewizji tych sprzecznych z sobą oddziaływań.

Wyrazicielem tej postawy staje się zawiązana w 1922 roku grupa malarska pod nazwą „Novecento Italiano". Najważniejszą konkluzję ich programu streszcza inicjator tego kierunku Lino Pesaro w jednej ze swoich mów: „to, do czego zmierza „novecento" jest proste i jasne: pragnie uczynić sztukę czysto włoską, chce, by czerpała podniety twórcze ze swych własnych źródeł, stara się wyzwolić ją ze wszystkich „izmów" importowanych i wpływów, które często deformują swoisty charakter naszej rasy". Niewielki zastęp malarzy zgrupowanych wokoło Lina Pesaro przekształca się niebawem w związek obejmujący szeroki zasięg i przybrawszy nazwę „Comitato Direttivo del Novecento Italiano" obejmuje oficjalne kierownictwo życia artystycznego faszystowskiej Italii.

Grupę „Novecento Italiano" reprezentuje na wystawie: Morandi, de Grada, Rossai i Guidi. Niewątpliwie najbardziej interesujący wśród nich jest Giorgio Morandi. Obojętny na sukcesy zewnętrzne, oderwany od życia samotnik, zapatrzony we własną wizję artystyczną podąża konsekwentnie raz obraną drogą. Tematyka jego prac ograniczona jest do krajobrazu i „martwej natury". W niezliczonych wariantach tych martwych natur operujących zawsze tymi samymi akcesoriami, jak różnego kształtu butle i naczynia, objawia zdecydowane zainteresowanie dla problemu budowy formy przejęte od Cézanne'a. Ilustruje to najlepiej „Martwa natura" z 1935 r. Kolorystycznie niemal niezróżnicowana dowodzi ona, że barwa stała się elementem podrzędnym w kompozycji i że straciła znaczenie na rzecz formy. Tektonika kompozycyjna zaakcentowana jest także w „Pejzażu" z 1935 r., ale równocześnie kolor jest tu równorzędnym z formą czynnikiem kompozycyjnym, a skala barw choć nierozległa, bo ograniczona do szarego, różowego i niebieskiego tonu, odznacza się pastelową delikatnością.

Prawdziwa finezja techniczna cechuje „Krajobraz" Ottone Rosai. Miękkie przejścia od ciemnych do jasnych tonów, wydobyte przez kompleksy drobnych kresek barwnych oraz łagodne skontrastowanie świateł i cieni, zacierają wszelkie ostrości formy przedmiotów nadając im puszystą jakby zdematerializowaną zwiewność.

Dużą indywidualnością artystyczną jest bezsprzecznie Luigi Bartolini, poeta, grafik i malarz w jednej osobie. Twórczość jego posiada pewne pokrewieństwo ze sztuką „fauvistów" francuskich, zwłaszcza Georges Rouault. Podobne u obu obwodzenie form silnie akcentowanym grubym czarnym konturem, ma uwydatnić walory tektoniczne kształtu. Zbliżony jest także stosunek do barwy i traktowanie jej jako czynnika dekoracyjnego i ekspresyjnego w obrazie. Wprawdzie masy plam barwnych ujęte są dzięki silnemu konturowi w kształty, które pokrywają się na ogół z formami przedmiotów rzeczywistych, to jednak obraz komponowany jest nie z punktu formy, lecz barwy jak u impresjonistów.

Ale jeśli w impresjonizmie jakość barwy miała swoje uzasadnienie w przedmiocie, do którego należała, choć uzależniona była od przelotnych zjawisk atmosferycznych, to u Bartoliniego zrywa ona całkowicie ten swój związek z przedmiotem rzeczywistości i staje się jedynie wyrazicielką wewnętrznej wizji świata, jaką wytworzył sobie artysta. Paleta Bartoliniego goreje orgiastycznie nasiloną dynamiką śmiało zestawionych barw: krzyczącej czerwieni, głębokiego kobaltu, trawiastej zieleni. Nakład farby jest gruby, niemal reliefowy. Pociągnięcia pędzla są pełne rozmachu, a smugi barw rozczłonkowują dekoracyjnie płaszczyznę płótna, wijąc się w nerwowych krzywiznach.

Dużo większe zainteresowanie od tych już znanych i uznanych artystów w sztuce europejskiej budzi młodsza generacja malarzy, która dopiero wchodzi w życie artystyczne i demonstruje swój najświeższy dorobek. Wystąpienie tych nowych malarzy na widownię sztuki jest zapowiedzią reakcji przeciw schematom formalnym i ideologicznej postawie grupy Novecento Italiano oraz próbą oparcia twórczości na nowych podstawach. Nowatorskie ich zamierzenia zaznaczają się równocześnie niemal w Turynie w „Związku Sześciu", w Rzymie w grupie skupiającej się wokoło „Galleria della Cometa" i w Mediolanie w zespole grupującym się wokoło czasopisma „Corrente".

Przyjmując jednolitą bojową postawę wobec sztuki „novecentystów" każda z tych grup malarskich zmierzała do odrodzenia sztuki włoskiej w odmienny sposób. Szkoła mediolańska pod przewodnictwem Birolli i Sassu, jakkolwiek występowała przeciw abstrakcyjnemu charakterowi sztuki Novecenta, to jednak pozostawała pod wyraźną sugestią kubistycznej fazy sztuki Picassa. Lekkie ślady kubizmu w sposobie wypowiadania się utrudniały jej nawiązanie istotnie ścisłego kontaktu z naturą. Inaczej w szkole rzymskiej. Tu zwrot ku rzeczywistości pokrywał się z nawrotem ku impresjonistycznemu sposobowi ujmowania jej. Dlatego też był bardziej zdecydowany i wyraźny. Różnice stylowe obu szkół przebijają się także w stosowaniu odmiennych zespołów kolorystycznych. Jeśli w mediolańskiej szkole przeważa na ogół chłodny i zimny koloryt, to w szkole rzymskiej dominują przeważnie harmonie ciepłe — brązowo-czerwone i złoto-różowawe.

Wszystkie te odrębności wypowiadania się stawały się jednak nieistotne, gdy chodziło o podjęcie wspólnego działania bojowego, by zerwać więzy, które krępowały swobodny rozwój artysty i człowieka. Wszyscy ci młodzi należą nie tylko do awangardy artystycznej, ale i politycznej. Wszyscy w równej mierze zwalczali namiętnie światopogląd artystyczny oficjalnej sztuki, jak i przeciwstawiali się czynnie uciskowi faszystowskiemu, dokumentując nieraz długimi latami więzienia niezłomną stałość swych przekonań. Dlatego to absorbują ich tak zagadnienia społeczne w sztuce, dlatego są wrażliwi na dolę człowieka i nie przechodzą obojętnie obok jego cierpień i zmagań, lecz upominają się głośno o jego prawa do życia godnego i wolnego.

Zwłaszcza Renato Guttuso jest obrońcą człowieka, któremu dzieje się krzywda. Obrazy Guttuso nie pozwalają na spokojne kontemplowanie, sztuka jego wstrząsa i niepokoi. Jest jakby głosem sumienia społecznego, które wyrzuca, drzemiącym spokojnie w dosycie życia, ich przewiny wobec bliźniego

BRUNO CASSINARI Portret staruszki (1944)

i oskarża ich o jego upadek moralny. Swoje cele ekspresyjne osiąga artysta deformacją kształtu naturalnego i dysonansami kolorystycznymi. Krzyczący szafir nieba, zjadliwa żółtość karnacji, przykra cukierkowość różowości, jaskrawy fiolet współdziałają z anemicznym wydłużeniem proporcji i ostrością form w wywołaniu zamierzonego efektu.

Nędzę ludzkiego bytowania odsłania w swych kompozycjach również i Modigliani, lecz różnica w pojmowaniu i przedstawieniu jej pomiędzy obu artystami jest ogromna. U Modiglianiego wyczuwa się perwersyjne i literackie upajanie się haszyszem zła. U Guttusa pełen oburzenia protest natury psychicznie zdrowej, reagującej żywiołowo na wszystko, co unieszczęśliwia człowieka.

Jednym z przywódców ideologicznych szkoły rzymskiej jest także Mario Mafai. Zamierzenia jego ilustruje „Autoportret", kolorystycznie udatny w przeciwstawieniu chłodnego szafiru bluzy i szarości tła, ciepłoróżowej karnacji twarzy i rąk oraz pastelowy różowo-niebiesko-fioletowy krajobraz z architekturą.

Codziennym życiem człowieka pracy zajmuje się Giovanni Omiccioli w swoich „Zbieraczach ryżu" i w „Portrecie wieśniaka". W podobiźnie tego wieśniaka, rysującego się z rzeźbiarską plastyką na tle łąki, daje sugestywny obraz tężyzny fizycznej i skupionej siły wewnętrznej. Godna specjalnego uznania jest brawurowa technika, posługująca się krótkim, urywanym, wibrującym kreskowaniem właściwym malarstwu dywizjonistycznemu i subtelna harmonia zielonawo-żółto-brązowych czystych tonów. Właściwości te zadziwiają u artysty-samouka, który dopiero od dwóch lat poświęcił się pracy malarskiej i rokują mu jak najlepsze nadzieje na przyszłość.

Wyłącznie z punktu widzenia barwy patrzy na świat Antonio Vangelli. W obrazie zatytułowanym „Arlekiny" temat jest czymś podrzędnym i nieistotnym. Dotykalna forma rozpływa się w powietrzu przesyconym mgłą, zatraca się w nierealnej poświacie, zamieniając się na drgający, w nieustannym ruchu niemal nieuchwytny w swej delikatności pył barwy.

Najwybitniejszym przedstawicielem szkoły mediolańskiej jest Bruno Cassinari. Głęboką wnikliwością obserwacji odznacza się jego „Portret staruszki". Zapadnięte usta, oczy obwiedzione wałkami skóry, zwiotczała szyja, żółtawa karnacja z fioletowymi cieniami, wydobyte z drobiazgową precyzją, składają się na niezwykle ekspresyjną charakterystykę naturalistyczną. Przy tym godny podkreślenia jest fakt, jak przy użyciu skromnej i mało zróżnicowanej skali barw: biel włosów, czerń sukni i żółtość twarzy osiągnąć umiał przedziwny efekt kolorystyczny. Wobec poziomu artystycznego portretu, jako fakt zgoła nieoczekiwany, uderzają przypadkowe w kompozycji i kolorystycznie chybione dwie impresje nocnego krajobrazu.

Przykre w ostrych kontrastach kolorystycznych i niesharmonizowane pejzaże Ennia Merlottiego, mimo prób ujęcia ich w system geometryczny, robią wrażenie nieprzemyślanych w konstrukcji.

Sumując wrażenia, jakie wywarła twórczość najmłodszej generacji, dochodzimy do przekonania, że najbardziej charakterystyczną i pozytywną właściwością jej sztuki jest dynamiczna żywotność i spontaniczna bezpośredniość. Dowodzi tego różnorodność form jej przejawiania się. Każdy z tych malarzy, świadomy własnych możliwości i zgodny z własnymi zainteresowaniami, nie poprzestaje na osiągnięciach swych poprzedników, lecz szuka samodzielnych rozwiązań. Nie ma nic bardziej obcego tej sztuce, jak stwarzanie ogólnie obowiązujących kanonów estetycznych czy pretendowanie do pełnienia funkcji sztuki oficjalnej, a więc już skrystalizowanej, wykończonej i zamkniętej. Przeciwnie, sami artyści czują, że są dopiero w stadium mozolnego tworzenia nowego światopoglądu artystycznego, w fazie pełnego napięcia szukania nowych wartości wyrazu i formy.

Swą niezależność wobec wpływów zewnętrznych manifestują najlepiej w odniesieniu do sztuki francuskiej. Jeśli ślady impresjonizmu — kolorystycznie całkiem zresztą zmodyfikowane — w fakturze technicznej są niewątpliwe, to z dzisiejszą sztuką francuską tego rodzaju związku zaobserwować nie można. We współczesnej sztuce europejskiej, która tak chętnie wchłania wszelkie nowości francuskie i bez sprzeciwu poddaje się kierownictwu artystycznemu Paryża, taka chłodna rezerwa jest objawem nawet rzadkim.

Młodzi malarze uznając, iż ucieczka w sferę abstrakcji w epoce ucisku faszystowskiego służyła jako pretekst do uchylania się od przymusu gloryfikacji społeczno-politycznych osiągnięć tego reżymu, nie kroczą nadal tą samą drogą. Dla wysokiego stopnia uświadomienia artystycznego młodych malarzy znamienny jest fakt, że odrodzenia życia artystycznego nie szukają na drodze kopiowania wzorów włoskiej sztuki z epoki jej największego rozkwitu i choć wczucie się ich w ducha renesansu jest na pewno głębsze niż u artystów obcych, którzy z tego źródła hojnie czerpią swe podniety twórcze, nie podążają tymi śladami w obawie, by się nie stać epigonami.

**Julia Hornung**

# W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

## Ankieta „Odrodzenia"

**Józef Baranowski:** Przygotowałem do druku dwa tomiki wierszy lirycznych oraz cykl bajek i wierszy dla dzieci. Ponadto chcę skompletować i wydać drukiem bajki sceniczne dla teatru marionetek.

Jednakowoż w obecnych warunkach (zwłaszcza w Poznaniu) znalezienie wydawcy — to wielkie zagadnienie. Czas mi pochłania praca zarobkowa (radio, tygodniki literackie itd.). Wierzę jednak, że w niedalekiej przyszłości będę mógł spokojniej odrobić zaległości i zająć się wydaniem moich prac.

**Kazimierz Brandys:** Mój dorobek pisarski składa się z trzech powieści. Pierwszej („Urodziny") nie zamierzam wydać w najbliższym czasie. „Drewniany koń" od paru miesięcy gryzie uzdę w stajniach wydawniczych i zapewne z końcem czerwca ukaże się na starcie nakładem „Czytelnika". Również w czerwcu „Książka" wypuści na rynek ukończoną niedawno opowieść o Warszawie pt. „Miasto niepokonane", której liczne fragmenty drukowałem w periodykach.

Jesienią podejmę pracę nad rozpoczętą już sztuką, której tytułu jeszcze nie ustaliłem. Akcja dzieje się w mieszkaniu warszawskim, przy ul. Kruczej podczas wojny.

**Mieczysław Dereżyński:** Odznaczone na konkursie P. Z. Z. w Poznaniu studium moje pt. „Nad Odrą i Bałtykiem. — Śląskie i pomorskie sylwetki literackie" nie dotarło jeszcze do drukarni i nie wiadomo, czy w tym roku znajdzie się w witrynie księgarskiej, gdyż P. Z. Z. walczy z trudnościami finansowymi.

W teczce mej spoczywają drobne rozprawki źródłowe „Młodość Jana Kasprowicza", „Dr Leon Czaplicki, nauczyciel Kasprowicza", „Z dziejów teatru polskiego na Kujawach", „Historia prasy kujawskiej", „Pióra i piórka kujawskie" (sylwetki pisarzy z Kujaw), „Bismarck na Pomorzu" (sprawa „Kulturkampfu" na ziemi pomorskiej), „Na bydgoskim podwórku" (sylwety twórców z regionu bydgoskiego).

Kończę tomik wierszy urbanistycznych „Z mojego miasta", tom ludowych opowiadań wielkopolskich i pracuję nad pamiętnikiem z lat okupacji, a ponieważ pięć lat wojny spędziłem w Bydgoszczy jako robotnik kanalizacyjny i kolejowy mogę o nieszczęsnym tym mieście dużo powiedzieć.

**Karol Górski:** 1. Wydaję książkę: „Państwo krzyżackie w Prusach" (w Instytucie Bałtyckim).

2. Pracuję nad książką „Polska w zlewisku Bałtyku".

3. Plany wydawnicze są w tej chwili nierealne z braku funduszów w instytucjach naukowych. Nakładcę znaleźć można tylko na książki popularne lub informacyjno-naukowe. Plany moje zmierzają do wydawania źródeł do dziejów Pomorza.

**Wanda Grodzieńska:** Wydaję obecnie w Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" zbiór wierszy dla dzieci pt. „Migdałowe historie" z ilustracjami Mieczysława Piotrowskiego.

Moje plany na przyszłość idą w kilku kierunkach. Zamierzam w niedługim czasie drukować dwa już gotowe tomiki wierszy. Rozpoczęłam pisanie większego utworu prozą; tłumaczę z rosyjskiego powieść dla dzieci. (Prace te postępują powoli, ponieważ dużo czasu zajmuje mi redagowanie „Świerszczyka"). Poza tym myślę o napisaniu artykułów z teorii literatury dziecięcej, która dziwnym trafem traktowana jest dzisiaj u nas bardziej po macoszemu niż przed wojną. W ostatnich latach przed r. 1939 w stanowisku pisarzy wobec twórczości dla dzieci dokonała się poważna ewolucja. Obecnie w porównaniu z tamtym okresem zaszły zmiany na niekorzyść.

**Maria Lila Hanusz:** W najbliższej przyszłości mam zamiar wydać (dla dzieci starszych) w książce dwie powiastki z czasów okupacji: „Wiłkołaki" i „Mały gazeciarz". Na warsztacie mam dwie powieści. „Kwitnący sad", to powieść ukończona przed wojną; część końcowa spaliła się podczas powstania w Warszawie, muszę ją zatem opracować na nowo. Tematem powieści jest wpływ szkoły prawdziwie demokratycznej na kształtowanie człowieka.

Druga powieść, na razie zatytułowana „Weksel bez pokrycia" (możliwe, że zmienię tytuł), została dopiero naszkicowana. Mam ukończony utwór sceniczny dla dzieci: „Legenda Bałtyku". Nie wiem, gdzie i kiedy ujrzy on światło dzienne, a raczej światło reflektorów scenicznych.

**Seweryn Hammer:** 1. Zaczęty przed wojną druk czwartego tomu mojego przekładu pism Tacyta utknął na siódmym arkuszu. Reszta rękopisu uległa zniszczeniu podczas powstania w Warszawie. Musiałem więc z nofatek rekonstruować na nowo całość tego tomu. Obecnie mam pewność, że tyleż zasłużona Kasa im. Mianowskiego zdoła ten ostatni tom dzieł Tacyta wydrukować.

2. W ciągu wojny przygotowałem wydanie dwujęzyczne wszystkich (także nieautentycznych) utworów Wergiliusza, wzorując się na podobnych wydawnictwach francuskich, angielskich i włoskich. Ustalonemu krytycznie tekstowi łacińskiemu towarzyszy paralelny przekład polski rytmiczny, naśladujący metra oryginału, z wykluczeniem rymu. Całość obejmuje cztery tomy. Jakkolwiek mam podobnie opracowane partie także z innych poetów łacińskich, których należałoby wydać — nie tylko dla potrzeb filologów — wolę szczegółów na razie nie podawać, bo nie jestem pewny, czy jaka firma nakładowa zechce podjąć się wydawnictwa.

3. Przygotowuję tomik, zawierający nowele greckie i łacińskie w przekładzie polskim; poprzedzi go studium o noweli antycznej.

4. Pisuję i będę pisywał do „Meandra", zamieszczając tam przekłady i artykuły z zakresu literatury i kultury klasycznej.

**Stefan Harassek:** Przygotowałem do druku pracę o pedagogice Trentowskiego łącznie z obszernymi wypisami z „Chowanny". Rzecz ta przeznaczona jest dla wydawnictwa klasyków pedagogii; przypuszczam, że niedługo już będzie się mogła znaleźć w rękach czytelników.

Ostatnio pracowałem nad zagadnieniami wychowania fizycznego Jędrzeja Śniadeckiego i nad dziejami estetyki w Polsce.

Po objęciu wykładów historii filozofii na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, pracuję nad dziejami ewolucjonizmu w filozofii.

**Janina Hurynowicz:** I. W chwili obecnej mam gotową do druku (lecz nie wiem, gdzie będzie drukowana) pracę eksperymentalną: 1. „Wpływ niektórych środków narkotycznych i nasennych na układ błędnikowy"; 2. „Zagadnienie higieny pracy umysłowej.

II. Pracuję obecnie nad neurofizjologią układu nerwowego wegetatywnego oraz nad zagadnieniami z zakresu higieny psychicznej.

III. Najbliższe plany wydawnicze są związane z drukiem pracy z zakresu chronaksymetrii (elektrofizjologia), podręcznika neurofizjologii oraz przygotowaniem rozdziału diagnostyki neurochirurgicznej do podręcznika diagnostyki chirurgicznej ogólnej, opracowywanej przez prof R. Michejdę.

Prócz tego mam w przygotowaniu kilka mniejszych prac klinicznych z zakresu neuropatologii, przeznaczonych do pism ściśle lekarskich.

**Bogdan Kamieński:** Obecnie ukończyłem połowę manuskryptu do książki „Z zagadnień chemii fizycznej", przeznaczonej dla młodzieży liceów matematyczno-fizycznych, oraz dla młodzieży akademickiej, studiującej chemię, medycynę przyrodę i farmację. Książka będzie wydana przez „Czytelnika"...

W bieżącej chwili organizuje się zakład chemii fizycznej i elektrochemii U. J., zniszczony zupełnie przez Niemców. Roboty postąpiły tak daleko, że wkrótce będzie można rozpocząć prace naukowe.

W przyszłości zamierzam wydać obszerniejszą chemię fizyczną ujmującą całość; część, mniej więcej 1/3, jest już opracowana. Wreszcie w najbliższej przyszłości rozpocznę redakcję prac naukowych.

**Zenon Klemensiewicz:** Napisane podczas okupacji: historia języka polskiego; gramatyka opisowa języka polskiego; gramatyka historyczna języka polskiego; studia z zakresu składni i semantyki (łącznie około 170 arkuszy druku) czekają w rękopisie lepszej przyszłości wydawniczej.

Wyjątkowe zadania organizacyjne w przejściowych warunkach studium uniwersyteckiego i ruchu naukowego, przygotowanie podręczników dla szkoły powszechnej i średniej nie dozwoliły w ostatnim roku na rozleglejszą pracę naukową.

Zadaniem najbliższej przyszłości jest: historyczna składnia języka polskiego na porównawczym tle ogólnosłowiańskim a następnie opracowanie metody badania i opisu składni indywidualnej, jako części charakterystycznej języka, zarazem ważnego współczynnika charakterystyki stylu osobniczego.

**Władysław Konopczyński:** A. Podczas wojny napisałem dzieła następujące: 1. „Kwestia bałtycka od X do XX wieku" (ok. 200 str.), 2. „Metodologia historii" (ok. 300 str.), 3. „Pierwszy rozbiór Polski" (ok. 300 str.), 4. „Fryderyk Wielki a Polska" (ok. 250 str.), 5. drugie wydanie „Liberum veto" (ok. 500 str.), 6. „Inflanty — dzieje trzech narodów" (ok. 120 str.), 7. „Polska w latach 1772—6" (ok. 100 str.).

Na powyższe książki mam upatrzonych nakładców, ale czy druk ich dojdzie do skutku i kiedy — trudno przewidzieć. Napisałem nadto szereg studiów pomniejszych jak: „Sąd historii", „Pod trupią główką" (wspomnienia z Sachsenhausen), „Kiedy nami rządziły kobiety", „Anglia a Polska w XVIII wieku".

B. Piszę obecnie: 1. „Polska a Bałtyk" (wybór tekstów źródłowych, wyd. „Czytelnik"), 2. „Polscy pisarze polityczni XVIII wieku", 3. „Konfederacje w dziejach świata" (obliczone na 2 tomy).

C. Dla wykończenia dzieła o konfederacjach chciałbym móc korzystać z bibliotek zagranicznych.

Poza tym mam wydawać w dalszym ciągu „Polski Słownik Biograficzny" (nakładem Polskiej Akademii Umiejętności).

**Tadeusz Kowalski:** Kończę obecnie druk krytycznego wydania relacji Ibrahima ibn Jakuba, podróżnika arabsko-hiszpańskiego z X wieku, o podróży na dwór Ottona I i do krajów słowiańskich. Ważny ten zabytek, rzucający jasny snop światła na stosunki kulturalne Słowiańszczyzny zachodniej, a stanowiący zarazem najstarsze źródło historyczne do dziejów Polski przedchrześcijańskiej, wyjdzie niebawem jako pierwszy tom nowej serii „Monumenta Poloniae Historica", wydawanej przez Polską Akademię Umiejętności. Wydawnictwo obejmuje tekst arabski z przekładem polskim i łacińskim, komentarz filologiczny i obszerny wstęp.

Z prac mogących zainteresować szerszy ogół przygotowuję wydanie wstępu do narodowej epopei perskiej Szahname, czyli „Księgi królewskiej" Firdausiego z Tus. Epopea ta, stanowiąca jedno z najciekawszych zjawisk literatury pięknej w skali światowej, jest u nas bardzo mało znana. Mój wstęp, obejmujący streszczenie olbrzymiego poematu prozą i omówienie ważniejszych zagadnień wiążących się z jego genezą i znaczeniem na tle epoki, ma za cel uprzystępnić Szahname kulturalnej publiczności polskiej.

**Władysław Kuczewski:** 1) Mam przygotowaną do druku niedużą pracę pt. „Przemysł a jutro Polski".

2) Pracuję obecnie nad podręcznikiem dla studentów-hutników: „Wielkie piece (metalurgia surówki)", oraz nad projektem wielkiego pieca na pyle węglowym do przetapiania biednych rud żelaznych i odpadków hutniczych (żelazodajnych).

3) Zamierzam napisać książkę „Naukowe podstawy procesów metalurgicznych".

**Jalu Kurek:** Po wydaniu dwutomowej epopei o „Janosiku" („Sława Głuchaczkom" i „Śpiew ściętej głowy") pragnąłbym zająć się bliżej teatrem. Na dobrą sprawę, mam omal na pół gotowe chyba ze cztery sztuki: jedną, poetycko-eksperymentalną, „Dante przynosi śmierć", drugą — psychologiczną, „Pan z elektrowni", trzecią, trawestację komiczną „Iliady" i „Odyssei" pt. „Poprawki do Homera", oraz czwartą — sztukę satyryczną „Cicho, Chiny"! Ta czwarta zdążyła się już zdezaktualizować: była ona pisana jako pendent do słynnej sztuki „Krzyczcie, Chiny" i kto wie nawet czy w swoim czasie, przed kilkunastu laty nie byłaby wystawiona w teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie, gdyby nie sprzeciw jednego z członków komisji teatralnej, profesora U. J., który twierdził (zresztą nie bez słuszności), iż ta antyjapońska sztuka jest właściwie satyrą na sanację, a japońszczyzna jest tylko dekoracyjnym rekwizytem w stylu buffo.

Czy będę jednak miał czas na opracowanie tych sztuk — wątpię.

Od roku już mam gotową ukończoną powieść, której akcja rozgrywa się w pierwszych latach ostatniej wojny; wyjdzie ona w książce jeszcze jesienią bieżącego roku. Proszę się nie gniewać, powiem na ucho: jest to trzeci i definitywnie ostatni tom „Janosika". Nosi tytuł „Wpiekłozstąpienie" i okupuje w pewnym sensie winy dwóch poprzednich tomów: nie będzie prawdopodobnie dłuższy nad 300 stron druku.

Na jesieni przewiduję również wydanie zbiorowe moich poezji, które obejmie wybrane utwory z dotychczasowych pięciu moich tomików poetyckich oraz wiersze z ostatniego okresu, nie opublikowane dotychczas w książce. Tom ten będzie zamykał 20-lecie mej twórczości poetyckiej.

**Franciszek Leja:** 1. Czy i jaką książkę drukuję? W druku znajduje się „Rachunek różniczkowy i całkowy", wydawany z subwencji Wydziału Nauki Ministerstwa Oświaty. Ukończenia druku spodziewam się w okresie wakacyjnym br. Równocześnie kończy się powielanie „Geometrii analitycznej", wydawanej przez Kółko Matematyczno-Fizyczne Studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Książki te, pisane w czasie wojny, są przystosowane do potrzeb szkół akademickich.

2. Nad czym pracuję obecnie? Po wznowieniu działalności Polskiego Towarzystwa Matematycznego na terenie krakowskim bezpośrednio po ucieczce okupanta, wznowiłem wspólnie z prof. T. Ważewskim i S. Gołąbem druk czasopisma naukowego „Annales de la Société Polonaise de Mathématiques". W grudniu ub. r. ukazał się tom 18 tego wydawnictwa, zawierający prace wielu matematyków. Jednym z głównych naszych zadań obecnie jest nawiązanie kontaktu z nauką zagraniczną i otrzymanie po 6-letniej przerwie wydawnictw zagranicznych drogą wymiany, do czego przeznaczone jest nasze czasopismo (wydawane w językach obcych). Przygotowany został do druku tom 19. Duża ilość prac zgłoszonych z różnych ośrodków matematycznych świadczy o żywotności nauki polskiej. Drukarnia Uniwersytecka nie może nadążyć (z powodu przeciążenia) z drukiem prac nadsyłanych do redakcji.

Równocześnie podjęliśmy w krakowskim ośrodku matematycznym inicjatywę wydawania czasopisma popularno-naukowego pt. „Przegląd Matematyczno-Fizyczny", przeznaczonego dla szerszych warstw interesujących się zagadnieniami matematyki i fizyki. Na przeszkodzie stoi dotąd brak funduszów.

3) Plany wydawnicze na przyszłość? Zamierzam zająć się problemami matematyki klasycznej (odwzorowania wierne, problem Dirichleta), poza tym zajmuję się opracowaniem monografii z zakresu teorii funkcyj analitycznych. W tym celu konieczne jest poznanie osiągnięć nauki zagranicznej w czasie wojny.

**Tadeusz Lityński:** 1. Nakładem Koła Rolników Wszechnicy Jagiellońskiej ukazuje się powielany manuskrypt pt. „Chemia rolna", książka przeznaczona dla studentów Wydziału Rolniczego U. J. oraz rolników z wyższym wykształceniem. Obejmuje ona naukę o glebie, odżywianiu się roślin, nawozach i nawożeniu oraz metody określania żyzności i potrzeb nawożenia gleby (4 tomy, każdy około 250 stron).

2. Prace naukowe obejmują zagadnienia związane z rolą fosforu w życiu roślin oraz badanie nad wpływem nawożenia na skład i właściwości kompleksu sorbcyjnego gleby.

**Tadeusz H. Nowak:** Absorbująca praca dziennikarska i redagowanie kolumny literackiej „Głosu Wielkopolskiego" nie pozwalają mi na „uczciwe" zajęcie się tymi wszystkimi projektami, które sobie w zeszłym roku nakreśliłem. Z napisanej w czasie okupacji w Warszawie powieści „Listy z oflagu" (manuskrypt spłonął w czasie powstania) powstaje zwolna utwór dramatyczny o nieustalonym jeszcze tytule.

Zbiór wierszy z przedwojennej podróży do Afryki („Śpiewy marokańskie") wymaga nowego opracowania. Do tego potrzebna jest... Afryka, a do niej... wierszówka. Stąd gonitwa i właśnie ta absorbująca praca.

**Zygmunt Psarski:** Mam przygotowany do druku tom wierszy, będący owocem pracy poetyckiej od roku 1935 do dziś. Nie mam niestety czasu zająć się ich wydaniem, albowiem pochłania mnie całkowicie praca nad zorganizowaniem jednej z katedr na Uniwersytecie Wrocławskim. Ta praca pionierska oddaliła mnie również od wykończenia powieści napisanej w Warszawie w czasie okupacji i zbioru nowel. Z chwilą, gdy zorganizuję mój warsztat pracy fachowej i uzyskam trochę spokoju i samotności, wrócę znów do literatury, której poświęciłem tę część życia, co nie chce pomieścić się w ramach jednej naukowej specjalności. Dziś z wyżej wymienionych powodów współpracuję jedynie z „Życiem Literackim", w przyszłości jednakże gorącym moim pragnieniem jest wznowienie wydawnictwa „Promu", który w latach 1932—39 był jedynym pismem poetyckim w Poznaniu. Wojna rozrzuciła po świecie jego założycieli i współpracowników. Zginął tragicznie Stefan Napierski. Nie mamy wiadomości o losie Bronisława Przyłuskiego, Allana Kosko, Jana Ulatowskiego, Konstantego Troczyńskiego. Gdyby ktoś z czytających te słowa wiedział coś o wyżej wspomnianych, prosiłbym uprzejmie o zawiadomienie mnie pod adresem: Poznań, Kossaka 9. Związek Zawodowy Literatów Polskich.

**Witold Reiss:** Spółdzielnia Bratniej Pomocy Uniwersytetu M. Kopernika w Toruniu wydała mój skrypt pt. „Zasady teorii administracji", oraz wydaje skrypt pt. „Prawo administracyjne".

Pomorskiemu Instytutowi Wydawniczemu oddałem do druku pierwszą część mego „Prawa administracyjnego w zarysie. T. I. Nauka administracji".

Obecnie na warsztacie pracy mam trzeci tom „Prawa administracyjnego", zawierający procedurę administracyjną tj.: „Postępowanie administracyjne, egzekucyjne w administracji, karno-administracyjne i dyscyplinarne", teksty ustaw z komentarzami.

W przyszłości zamierzam wydać: tom drugi „Organizacja władz", tomy IV, V i VI zawierające kodeks administracyjny.

**Jerzy Schnayder:** W ostatnich latach zajmowałem się starogreckimi przewodnikami podróży (starożytnymi Baedeckerami) i z tego zakresu ogłosiłem 2 prace. Obecnie ukończyłem opracowanie przewodnika Lukiana po syryjskim mieście Hierapolis. Potem przyjdzie kolej na syntetyczną rozprawę, wreszcie na opracowanie refleksów tej produkcji literackiej w literaturze rzymskiej.

Przygotowuję na sierpień popularną rzecz o turystyce w starożytności, przeznaczoną dla sympatyków kultury antycznej. W druku („Meander", nr 5) znajduje się artykuł pt. „Język grecki we współczesnej polszczyźnie kulturalnej".

**Eugeniusz Słuszkiewicz:** Kończę wydawać pracę prof. A. Gawrońskiego „Początki dramatu indyjskiego a sprawa wpływów greckich"; uzupełniłem ją wstępem, uwagami i streszczeniem francuskim. Rzecz ukaże się już wkrótce, jako nr 35 „Prac Komisji Orientalistycznej" PAU.

Przygotowuję dwie lub trzy książeczki popularne o Indiach, dura necessitate coactus.

Planuję przede wszystkim dokończenie i wykończenie drugiej części rozprawy „Remarques sur la langue turque des Arméniens et sur les emprunts turcs de l'arménien", której część pierwsza wyszła tuż przed wojną jako artykuł t. XIV „Rocznika Orientalistycznego" (str. 136—154).

**Tadeusz Tempka:** Obecnie jest w druku mój podręcznik pt.: „Klinika i leczenie schorzeń układu krwi" (nakładem Instytutu Naukowo-Wydawniczego przy Ministerstwie Zdrowia).

Pracuję nad zagadnieniem obrazu komórki nowotworowej z punktu widzenia bioptycznego.

**Szczęsny Wachholz:** 1. Obecnie nie wydaję żadnej książki.

2. Pracuję od dłuższego czasu nad historią Wolnego Miasta Krakowa (1815—1846) ze szczególnym uwzględnieniem zagadnień ustrojowo-administracyjnych miasta w tym okresie.

3. W przyszłości, ale niestety jeszcze dalekiej, pragnąłbym opracować podręcznik historii administracji polskiej.

**Zygmunt Zawirski:** Co się tyczy gotowych rzeczy, które chciałbym wydać, to mam gotowy „Słownik filozoficzny" na kilkaset stron druku, na którego bliskim wydaniu zależy mi niesłychanie. Jestem gotów ograniczyć moje honorarium do minimum, a nawet w ostateczności zupełnie z niego zrezygnować, gdyby ktoś chciał tylko tę rzecz wydać. Rękopis znajduje się na razie w rękach „Czytelnika", który mi jednak wydania jak dotąd jeszcze stanowczo nie przyrzeka. Nadmieniam jednak, że prawo pierwodruku ma firma Krzyżanowskiego, na której zamówienie pracę nad „Słownikiem" zacząłem jeszcze przed wojną i które musiałoby być spłacone. Firma Krzyżanowskiego nie jest w możności podjąć się druku obecnie.

Druga praca gotowa do druku ma tytuł: „Walka filozofii greckiej z chrześcijaństwem oglądana z perspektywy wieków". Tej pracy nie chciałbym na razie publikować.

II. Obecnie pracuję nad przygotowaniem do druku moich wykładów: „O metodzie badań naukowych". Rzecz przeznaczona głównie dla młodzieży akademickiej, ale niewątpliwie mogąca zainteresować wykształcony ogół społeczeństwa.

III. Na przyszłość planuję dzieło oczywiście również o treści filozoficznej: „O problemach filozofii".

**K. W. Zawodziński:** Dla wygody własnej i tych nielicznych czytelników, którzy może zechcą zajrzeć do jakiegoś z mych dawniejszych artykułów, na które się czasem powołuję, chciałbym podsumować rezultaty ćwierćwiecza mej działalności krytyczno-literackiej. Planuję wielki tom „Poezja i poeci", w którym znalazłyby się najważniejsze moje prace z tej dziedziny, te zwłaszcza, w których omawiam lub poruszam kwestie teoretyczno-literackie. Z dodatkiem indeksu rzeczowego książka ta stanowiłaby namiastkę poetyki, której prawdopodobnie nigdy nie napiszę.

Analogiczny, również pokaźnych rozmiarów tom powstałby z połączenia mych prac, dotyczących innych gatunków literackich, którym obecnie najwięcej zainteresowania poświęcam: „Opowieści o powieści i o dramacie". Poszukuję więc wydawców, marząc o takim, który by także moje „Wczasy nieliterackie" chciał przypomnieć światu w kształcie książkowym, między innymi porozrzucane po pismach szkice z dziedziny socjologii, ekonomiki i zagadnień ogólnokulturalnych.

Sprawa jest jednak beznadziejna, skoro dotąd nie mogę znaleźć wydawcy dla dwudziestu, choćby dziesięciu powieści Kraszewskiego, od dawna nieprzedrukowywanych, zapomnianych, a częściowo w ogóle pominiętych przez krytykę jemu współczesną głuchym milczeniem, jak np powieść o polskiej kobiecie wyzwolonej, uczestniczce komuny paryskiej. Są to, poza ich zdumiewającą niekiedy aktualnością, prawdziwe arcydzieła polskiej prozy narracyjnej, wzory realizmu, o którym się tak wiele dzisiaj pisze. Przy tym, wobec poczytności Kraszewskiego w szerokich masach, które zaczytały dosłownie, rozszarpały dziesiątki tysięcy egzemplarzy każdego jego utworu, byłoby to zarówno doskonałym interesem handlowym jak i zasługą w zakresie demokratyzacji literatury polskiej, nie mówiąc już o tym, że w ten sposób dopiero ukazałoby się prawdziwe oblicze artystyczne wielkiego pisarza, nie tylko „tytana pracy", legendarnego, bo nie czytelnego w nieumiejętnych wznowieniach lat ostatnich.

Wstępy do projektowanych w mej edycji powieści, stanowiące zamknięte studia różnych aspektów działalności Kraszewskiego, nawiązujące do danego utworu, mogłyby być z czasem połączone w tom, wzbogacający szczupłą w stosunku do dzieła literaturę krytyczną o autorze „Latarni czarnoksięskiej" i „Ulany".

Gotowe już nowe opracowanie „Dożywocia" Fredry, jednej ze sztuk słusznie i z powodzeniem otwierającej działalność teatru polskiego po wypędzeniu Niemców, czeka na wznowienie „Bibliotekę Narodowej", żeby się ukazać na półkach księgarskich.

Kontynuując swój „Zarys wersyfikacji polskiej", mam już gotowych parę rozdziałów z jego drugiej części, „Metryki szczegółowej". Nie wiem, kiedy skończę tę żmudną pracę i kto ją wyda. Nie wiem też, co mam robić z obszernym studium o zagadnieniu przekładów poetyckich, rozpatrywanym w związku z interpretacją twórczości P. Valéry'ego.

*) Por. odpowiedzi w nr nr 66—7? „Odrodzenia".

# Klejnoty i drzazgi

**BALTAZAR BOEHM** **Odlewacze**

Oglądając z racji Święta Oświaty dwie wystawy poświęcone książce w Krakowie, a mianowicie „Skarby Biblioteki Jagiellońskiej" — wystawę dającą pogląd na nasze najcenniejsze zabytki piśmiennicze i bogactwo bibliotek, oraz wystawę „Nowej książki polskiej", zorganizowaną staraniem Związku Księgarzy Polskich, zdajemy sobie niewątpliwie lepiej sprawę z tragedii i potrzeb naszych bibliotek w dobie powojennej.

W gablotach wystawowych Biblioteki Jagiellońskiej czarują wzrok wspaniałe iluminaty średniowieczne i humanistyczne, z uczuciem rozrzewnienia patrzy się na najstarszy, pół tysiąca lat liczący rękopis pierwszej polskiej pieśni-hymnu niegdyś religijnego i państwowego „Bogurodzica". Rękopis był wklejką na odwrocie oprawy innego rękopisu i został kunsztownie odnowiony przez artystę-konserwatora Bonawenturę Lenarta w r. 1935. Podziw budzą pierwsze druki, wspaniałe oprawy i wreszcie autografy, poczynając od św. Jana Kantego, profesora Wszechnicy Jagiellońskiej, a kończąc na Żeromskim czy Reymoncie.

Wśród metalicznych błysków złota rozkwitają inicjały lekkim fioletem, zielenią wiośnianych pąków, lazurem włoskiego nieba, rumieńcem pomarańczy, przechodzącym aż w płomień cynobru. Nic to, że przeminęło tyle wieków, gdy je malował w zaciszu klasztornym mnich, wielki artysta, który nie zostawił po sobie innego imienia, jak tylko „Maestro del codice di S. Giorgio", wszystkie barwy są jasne i żywe, jakby wczoraj mistrz bezimienny pędzle odłożył.

Rozkoszując się urokiem pergaminowych kodeksów, które z tamtej strony Alp przywozili do Polski bakałarze i ambasadorowie, lub biskupi i posłowie papiescy, mimowoli przypominamy sobie, iż setki tak przepięknych, artystycznych ksiąg chórowych, mszałów, modlitewników i średniowiecznych encyklopedii strawił żar wojny. Z murami płonących polskich bibliotek skwierczały w ogniu sleneńskie, weneckie, czy paryskie pergaminy, bibliofilskie cacka, a bibliograficzne unikaty! Często wędrowały też do Niemiec zagrabione przez przygodnych „konserwatorów", jak ów modlitewnik Władysława, króla Czech i Węgier, jak „Codex picturatus" Baltazara Boehma, zawierający zbiór ustaw cechów krakowskich z 1505 r. O Modlitewniku Władysławowym słuch zaginął, a kodeks Boehma, którego nędzną fotokopię zostawili niemieccy okupanci „na pamiątkę" Bibliotece Jagiellońskiej, niebawem do niej powróci.

Boli jednak jak drzazga myśl o tych zagrabionych klejnotach polskich bibliotek publicznych i zbiorów prywatnych, które przepadły bez wieści, a przecież przed wojną 1939 r. było ich nie tak znów mało. Schylamy się nad najwcześniejszymi polskimi drukami, leżą przed nami księgi z takich sławnych krakowskich oficyn jak: Wietor, Ungler czy Łazarz. Wokoło karty tytułowej dzieł Jana Kochanowskiego biegnie delikatny ornament, który w tej chwili wydaje się czernią żałobnej obwódki na klepsydrze tej dawnej, szesnastowiecznej książki polskiej, której tyle egzemplarzy zniszczało w płomieniach, zaginęło gdzieś w świecie, przypomina się smutny los wspaniałego zbioru Załuskich...

Podziw budzą dawne oprawy książek, świadcząc, jak ceniono i jak miłowano książkę przed wiekami. Wielki bibliofil z XVI w. Jan Ponętowski chlubił się kolekcją opraw atłasowych, złotem haftowanych, to znów wykonanych na wzór wschodnich opraw Koranu. Na karmazynowym aksamicie perłami haftowany orzeł — przez Annę Jagiellonkę — to również okładka książki, inna znów na wzór weneckich wyrobów koronkowych cała ze srebra, jeszcze inna w skórze tłoczona, to znów brokatowa, a wszystkie drogocenne i wymyślne, mające swoją historię. Wśród eksponatów zdarzają się i tak rzadkie, że tylko kilka tego typu w całej Europie można odnaleźć.

Oprócz książek Biblioteka Jagiellońska pokazała i klejnoty swych czasopism, a nawet, rzec można, i klejnoty polskich periodyków w ogóle. Na czele „Nowiny od księdza Podoskiego z Wiednia z r. 1568", gazeta najstarsza, ręcznie jeszcze pisana, a potem pierwsza polska drukowana gazeta „Merkuriusz Polski" z r. 1661, wydawana w Krakowie przez Jana Aleksandra Gorczyna. Nie byliśmy wcale narodem zacofanym, nawet jeśli o czasopiśmiennictwo chodzi, „Merkuriusz Polski", toż to piąty z kolei periodyk w Europie!

Z czasów powstania Kościuszkowskiego jest na wystawie „Gazeta Powstania Polski" (Warszawa, 1794), według „Bibliografii" Estreichera — unikat.

Dzięki umiejętnej konserwacji, staranności opraw zdołały się przez wieki tak pięknie zachować te wszystkie klejnoty, z których dumna jest Biblioteka Jagiellońska. Niestety dziś miesięczna dotacja 13—15 tysięcy zł. wystarcza chyba na zakup przyborów kancelaryjnych, o oprawie książek a tym bardziej czasopism nie ma co marzyć. Smutne to bardzo. Dla porównania warto nadmienić, że Biblioteka Jagiellońska przed wojną miała rocznej dotacji 93.000 zł, a więc teraz w przeliczeniu powinna mieć najmniej 1.860.000 zł., a nie byłoby to wiele; Biblioteka Narodowa w Pradze ma np. obecnie pół miliona koron czeskich miesięcznie. Wtedy można myśleć nie tylko o oprawie, ale i kupnie nowych naukowych wydawnictw zagranicznych, niezbędnych dla każdej biblioteki uniwersyteckiej.

Trudności w odradzającym się po wojnie państwie polskim są ogromne, toteż ufnością i optymizmem napawa każdy racjonalny wysiłek, każdy celowo zrobiony wydatek dla publicznego dobra. Pod kątem ufnego optymizmu patrzymy też na drugą wystawę, wystawę „Nowej książki polskiej", która została otwarta w Bibliotece Muzeum Przemysłowego. Zachwyca na pierwszy rzut oka ilością eksponatów, a na pewno nie są to wszystkie wydawnictwa z okresu powojennego.

Ilościowo najlepiej reprezentowane są firmy wydawnicze przede wszystkim Krakowa, potem Poznania i chyba Śląska. Bardzo to dodatni i pocieszający objaw, że właśnie na Ziemiach Odzyskanych ruchliwość wydawców i zapobiegliwość drukarzy wykazuje tyle inicjatywy. Na wystawie są druki z Jeleniej Góry, Lignicy i Wrocławia, który, chociaż spalony i zniszczony wojną, uruchomił już kilka drukarń, wznawiając tradycję polskiej książki, która była tam pięknie drukowana jeszcze w ciągu ubiegłego stulecia.

Pierwszym polskim drukiem powojennym to Podwińskiego (pseud.) „Pieśni oddziałów partyzantów" z lipca 1944. Obok tej najwcześniejszej literatury lubelskiej drugą i wcale okazałą grupę stanowią wydawnictwa poświęcone literaturze obozowej i powstaniu warszawskiemu, można nawet powiedzieć, że dym krematoriów i widoki zgliszczy przesłania, a raczej przytłacza wszystko inne, szkoda tylko, że wśród tej licznej literatury osnutej na tle martyrologii polskiej i z niej wyrosłej nie ma wydawnictw albumowych, które by przemawiały także do cudzoziemca; zdjęcia zniszczonej Warszawy to zbyt mało, to tylko wycinek tragedii całej Polski.

Wśród literatury poświęconej Ziemiom Zachodnim, rzecz godna uwagi, jest już wiele pozycji bibliograficznych i wydawniczych nieprzemijającej wartości, ale dział sąsiedni — literatura wojskowa, jakże licha i uboga! Podręczniki szkolne i wznowienie lektur, oraz literatura popularno-naukowa przedstawiają się dość pokaźnie, ale wobec ustawy o sieci bibliotek powszechnych, wobec konsumcji tego rodzaju wydawnictw, a straszliwego spustoszenia, jakie poczynili Niemcy, wszystko to można uważać za kroplę w morzu.

Dział literatury dla dzieci i młodzieży przedstawia się już wcale nieźle, ale i tutaj są przeważnie wznowienia wydawnicze, a wśród klejnotów także drzazgi. Trudno sobie wytłumaczyć dlaczego firma tak znana i szacowna, jak Gebethner wydała W. Przyborowskiego „Bitwę pod Raszynem" na haniebnym, pakunkowym szarym papierze. Oczywiście taki był przydział, ale czyż wobec tego nie należało książki nie wydawać wcale, niż dawać w rękę młodocianego czytelnika egzemplarz tak brzydki!

Smutne refleksje budzi beletrystyka i poezja. Zbyt mało nowych talentów. Po sześciu niemal latach milczenia, w okresie tak doniosłych przemian społeczno-politycznych świata, w okresie tak intensywnego procesu wewnętrznych przeżyć powieściopisarze powinni mieć dość materiału do obserwacji i wypowiedzi. Tymczasem i tutaj wznowienia, a poezja, gdyby nie okazałe tomy Przybosia i Miłosza, tak jakby nie istniała. Prawnicy za to święcą tryumfy, bo nowe ustawy nowych wymagają komentarzy, za to trudniej mówić o nowych, a istotnie wartościowych osiągnięciach w dziale literatury rolniczej, a przecież wskutek reformy rolnej niewątpliwie i ten temat powinien budzić zainteresowanie szerokiego ogółu. Szkolnictwo rolnicze, postęp, jaki w tej dziedzinie dokonał się w innych krajach, nie znajdują swego wyrazu na wystawie.

Zastanawia jedna książka, książka, którą widziało się niestety kiedyś na wystawie zorganizowanej w Krakowie przez Niemców, a obrazującej „zasługi" okupanta w podnoszeniu kultury polskiej. Oto wówczas między drukami propagandowymi, między ukraińskimi i polskimi pismami, „Elementarzami hodowli pszczół", na honorowym miejscu leżał **„Wielki ilustrowany sennik egipsko-chaldejski"**, akurat ten sam, który figuruje na „Wystawie Nowej Książki Polskiej"! Nie, to nie jest „nowa" polska książka, chociaż niestety według źródłowych informacji, ona właśnie rozchodzi się w setkach tysięcy egzemplarzy na prowincję. Smutne to i zatrważające. Czyżby kultura małych miasteczek i dalekich wiosek stała aż tak nisko, że jedyną interesującą czytelników lekturą byłby sennik? Nie, raczej wolimy żywić nadzieję, że jest to przejściowy nawyk z czasów wojny, kiedy się wierzyło w różnego rodzaju serie przepowiedni i w nich upatrywało zbawienie i czerpało dawki pociechy i optymizmu. W obecnych jednak czasach powinno się walczyć z tego rodzaju literaturą, po prostu nie przydzielając papieru na podobnie bzdurne wydawnictwa, skoro nie ma dostatecznej ilości elementarzy, skoro palącą sprawą są lektury szkolne i literatura popularno-naukowa tak potrzebna dla uruchomienia bibliotek powszechnych.

W Polsce wydawano przed wojną około siedem tysięcy tytułów książek i broszur w nakładzie 22 milionów egzemplarzy, ale i wtedy, z tej obfitości trudno było wybrać rzeczy istotnie wartościowe i odpowiednie dla bibliotek, jak wówczas nazywano oświatowych. Bibliotekarze stwierdzili, że na przestrzeni lat 1933—1935, tylko 100 tytułów z beletrystyki, a 85 z działu naukowego było przydatnych dla prowadzenia bibliotek oświatowych.

Słuszne przeto i konieczne jest zwłaszcza dzisiaj, przygotowanie racjonalnego programu wydawniczego i z radością należy powitać wyniki w tym kierunku Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik". Firma ta wykazuje największą ruchliwość wydawniczą, czego dowodem setna i piękna, a także wartościowa pod każdym względem książka **„Joachim Lelewel"** Ignacego Chrzanowskiego. Jest to jedno z ostatnich wykończonych dzieł niepospolitego stylisty i gorącego Polaka, profesora krakowskiego uniwersytetu, zamęczonego przez Niemców w obozie koncentracyjnym.

Myliłby się jednak ktoś sądząc, że „Czytelnik" mając niewątpliwie supremat ilościowy zmonopolizował akcję wydawniczą. Nieprzeciętną ruchliwość wykazują i inne spółdzielnie, chociażby „Książka", i firmy prywatne, lub zgoła nawet autorzy wydający własnym nakładem swe dzieła. Okazuje się, że w dzisiejszych czasach książka mimo kosztów druku, mimo braku papieru jest rzeczą bardzo popłatną. Nic dziwnego, skoro w naszych bibliotekach naukowych, szkolnych i powszechnych pozostało 6 milionów tomów, a zniszczało 15 milionów.

Wyrazisty plakat opracowali artyści-malarze A. i F. Seifertowie, przedstawiając drzewo włośnianych barw, wyrastające na tle płonących jeszcze ruin, chociaż zbyt mało, jak na ilość eksponatów zawiera klejnotów, chociaż śmieci i drzazgi leżą obok, świadczy przecież dobitnie, że książka wkracza znów we wszystkie dziedziny naszego życia. Trafny dobór eksponatów zawdzięcza Wystawa w Bibliotece Jagiellońskiej dr. Z. Ameisenowej, mgr. Z. Hordyńskiemu i dr. Zatheyowi, a „Nowa Książka" — p. A. Trepińskiemu.

**Irena Barowa**

# Książki dla dzieci i młodzieży

### TOREM SPOŁECZNYCH TRADYCJI

W wykuwaniu nowych form życia dopomaga nam dorobek przeszłości; nić postępowej, twórczej myśli ludzkiej wysnuwa się z ubiegłych wieków, nabiera coraz większej trwałości i mocy, stanowi jakby więź, wokół której koncentrują się reformatorskie dążenia doby dzisiejszej. Dążenia te poszukują artystycznego wyrazu, lecz dzieła tworzone na gorąco, w toku stających się przemian są niejednokrotnie surowe w formie, uproszczone w treści. Współczesnym trudno w sposób jednoznaczny ocenić ich wartość i przewidzieć czy wytrzymują próbę czasu, dlatego też pożyteczny jest powrót ku tym pozycjom naszej literatury, w których owe szlachetne tendencje uzyskały dojrzały artystycznie wyraz i jest to ważne przede wszystkim ze względów wychowawczych.

Należy więc powitać z wielkim uznaniem inicjatywę „Czytelnika", Gebethnera i Wolffa oraz Arcta, którzy wydali ostatnio szereg popularnych broszur wybranych czy to z katalogu Biblioteki Uniwersytetów Ludowych czy to Biblioteki Młodzieży („Polska i świat współczesny"), lub po prostu stanowiących przedruki wydawnictw międzywojennych. Wznowieniom tym przyświecała jedna myśl — by uwypuklić i podkreślić tendencje społeczne w naszej literaturze oraz przenikające ją humanitarne dążenia. A więc w BUL przypomniano raz jeszcze te utwory, które głoszą umiłowanie pracy i obowiązku (Reymonta „Pewnego dnia", Konopnickiej „Dym", „Urbanowa"), które ukazują dolę chłopskiego dziecka, poruszają problem podniesienia oświaty („Janko Muzykant", „ABC", „Antek"). Surowa ocena egoizmu społecznego i bierności znajduje wyraz w „Katarynce" (rozwiązanie na korzyść filantropii) i „Siłaczce" (wydanej także przez „Czytelnika"), apoteoza bohaterstwa przejawia się w opowiadaniu Prusa „Na wakacjach", idea ogólnoludzkiego braterstwa w obrazku Żeromskiego „Na pokładzie". Wymienione broszury oddają nieocenione usługi nauczycielom jako lektura obowiązkowa i uzupełniająca, a przystępna cena umożliwia młodzieży ich nabycie.

Poza tymi pozycjami podstawowymi wznowiono szereg wydawnictw międzywojennych jak Boguszewskiej „Za zielonym wałem", Kornackiego „Oczy i ręce", Wasilewskiej „Pokój na poddaszu" („Czytelnik"), Porazińskiej „Wesoła gromada" (Arct), Zarembiny „Dom wielki jak świat" (Gebethner), „Marcin Kozera" („Czytelnik").

Pierwsze trzy opowiadania są najbardziej charakterystycznym przykładem „literatury szarego człowieka" na użytek młodzieży. Autorzy opisują środowisko ludzi pracy, codzienną, smutną dolę dzieci skazanych na przedwczesną walkę o byt i — na tym tle — jasne promyki ludzkich przyjaznych uczuć i — podkreślone zwłaszcza w „Pokoju na poddaszu" — pozytywne osiągnięcia dokonane przez zbiorowy wysiłek. Mimo optymistycznego wydźwięku utwory te wywierają wrażenie raczej przygnębiające — chęć odtworzenia atmosfery środowiska i — zwłaszcza w opowiadaniu „Oczy i ręce" — interesujące lecz zawiłe obserwacje psychologiczne i skojarzenia — górują nad zamiarem pedagogicznym. W sumie lektura niewątpliwie pożyteczna, lecz dla młodzieży zbyt mało atrakcyjna. W „Wesołej gromadzie" natomiast — szczęśliwie wznowionej, choć są tu momenty zbyt silnie związane z okresem naszej „państwowotwórczej" niepodległości — żywa akcja i humor trzymają uwagę czytelnika w napięciu — a jednocześnie silny akcent społeczny narzuca się jako naturalne rozwiązanie zabawnych sytuacji. Również w opowiadaniach „Dom wielki jak świat" akcja toczy się żywo, pełna rozmów, plastycznych obrazów, wypływająca z nich nadbudowa ideologiczna (motyw pracy, miłości do matki, ogólnoludzkiego braterstwa) wynika z rozwoju wypadków lub z mocnej pointy, która wzrusza.

I tutaj warto przypomnieć, że utwór, jeśli ma wpłynąć pozytywnie na młodociany umysł, musi przemówić nie tylko drogą rozumową, lecz także poprzez przeżycie, musi budzić szlachetny poryw, zdolność do entuzjazmu. Taki poryw głęboko ludzki przenika opowiadanie Dąbrowskiej „Marcin Kozera". Tutaj przenosimy się do środowiska Polonii zagranicznej, gdzie dwunastoletni chłopiec odnajduje swą przynależność narodową, lecz nie jako mur oddzielający go od innych, tylko jako naturalny wynik wzmożonego poczucia człowieczeństwa, gdyż przede wszystkim dąży do tego, by był dzielnym człowiekiem, a potem dopiero — dobrym Polakiem. Szlachetna tendencja „Marcina Kozery" nie jest narzucona programowo, tok akcji wyładowuje się w napięciu dramatycznym, które posiada artystycznie silniejszą wymowę, niż spokojne i obiektywne odtworzenie znanych dziecku przejawów codziennego życia.

### DALEJ OD RZECZYWISTOŚCI

„Baśnie wszystkich ludów wyrażają tęsknotę za szczęśliwszym, lepszym życiem, gdzie nie ma bogaczy i nędzarzy, gdzie nie ma wyzyskiwaczy i pracujących od świtu do nocy niewolników" — czytamy w przedmowie do „Baśni i legend" opracowanych przez Wandę Markowską i Annę Milską (wyd. „Książki"). To socjologiczne uzasadnienie istnienia baśni jest nowym akcentem, nasuwa ono jednak wyobrażenie, że potrzeba baśni jest jak gdyby związana z przejściowym stanem bytowania ludzkości, że w innym, lepszym świecie, który zbudujemy własną pracą, baśnie staną się niepotrzebne. Sprowadzenie tego typu twórczości do rekompensaty materialnych niedosytów byłoby jednak pewnym ograniczeniem, baśń powstaje bowiem z psychologicznej — a także nieuświadomionej estetycznej potrzeby przekształcenia rzeczywistości, przeniesienia codziennych doznań w inny, odświętny jakby wymiar, wypływa z magicznego światopoglądu właściwego dzieciom i wyobraźni ludu. Godną podkreślenia zdobyczą dzisiejszej doby jest zrozumienie potrzeby baśni mimo postulatu realizmu w literaturze, gdy dawniej ludowe wątki wyciągano na światło dzienne tylko w okresach romantycznego idealizmu.

„Baśnie i legendy" zostały opracowane bardzo starannie pod względem literackim, wybór obejmuje podania i baśnie wszystkich krajów i ta wędrówka w czasie i przestrzeni uwypukla międzynarodowy charakter pewnych wątków. Poza literackimi opowieściami Andersena oraz najbardziej popularnymi baśniami Grimma i z „Tysiąca i jednej nocy", znajdujemy tutaj interesujące a mniej znane baśnie rosyjskie, grenlandzkie, estońskie, abisyńskie, kabylskie, a także opracowania niektórych mitów greckich nazwanych przez autorki „legendami". Otóż w terminie tym kryje się pewne nieporozumienie, bowiem w zbiorku tym nie ma ani jednego utworu, który zwykło się nazywać legendą. W przeciwieństwie bowiem do podania, klechdy i baśni — legenda zawiera treść cudowną, związaną ściśle z kultem religijnym o zabarwieniu chrześcijańskim; tak nazywano nasze najpierwsze średniowieczne opowieści o świętych np. o św. Aleksym. Książkę wydano na niedrogim papierze, lecz za to zdobią ją piękne, typowo „baśniowe" ilustracje Olgi Siemaszkowej.

„Baśnie lapońskie" Jadwigi Walczakowej wydane przez krakowski „Biblos" zawierają kilka fantastycznych opowieści z dalekiej północy, opartych na podaniach ludowych. Niektóre opowiadania, zwłaszcza „Wyprawa po słońce", pełne poetyckiej prostoty, inne — pełne niesamowitej, romantycznej grozy przypominają „Opowieść o strasznym potworze" Mirandoli, która spędzała sen z oczu młodopolskim dziatkom. Ścisłe współżycie ludzi ze zwierzętami na tle przyrody polarnej stanowi wdzięczne tworzywo, tutaj jednak brak jednolitości artystycznej. Surowe, twarde życie mieszkańców Laponii domaga się języka lapidarnego, tutaj zaś zbyt wiele zdrobnień, niefortunnych epitetów (niedźwiedź o wilku: „nieprzyjemny typek!") i — co gorsza — brak kontroli językowej (tryb rozkazujący: „ciągl!").

Do tego działu należy także zaliczyć opowieść alegoryczną Juliusza Germana „Jak Pan Bóg Niemca pokarał" (wyd. M. Kowalskiego). W dobie nasilenia tendencji antygermańskich wyciągnięto z lamusa i tę „dla dzieci polskich bajkę prawdziwą". Ta naiwna opowieść o aniołach, diable i Niemcu-potworze odegrała na Śląsku swą rolę przed dwudziestu kilku laty, jeśli jednak historia się powtarza, to w każdym razie przeżyte chwile domagają się dzisiaj innego wyrazu. W momencie, gdy w literaturze uwidacznia się coraz wyraźniej dążenie do zamknięcia przeżytej grozy w kształt zwarty, skupiony i prosty, razi nas młodopolska frazeologia i naiwna symbolika tego utworu.

W przyjemny natomiast sposób trąci myszką Kraszewskiego (dlaczego bez autora?) „Dziad i baba" wydana przez Gebethnera z ilustracjami M. Szancera. Ilustracje te grają w cieniutkiej broszurce główną rolę; groteskowe, niezwykle wyraziste w ruchu, ożywiają swym rozmachem staroświecką i — dzięki swej prostocie — wczoraj, dziś i jutro czytelną bajeczkę.

### Z ŻYCIA ZWIERZĄT

W dziale opowieści o zwierzętach — ostatnio zaniedbanym — jedyną lecz za to niewątpliwie wartościową pozycją jest „Marmotek z gór" Miry Wiśniewskiej („Czytelnik"). Jest to opowieść o małym świstaku poznającym świat. Widnokrąg Marmotka, początkowo ciasny i ciemny jak nora, w której się urodził, rozszerza się coraz bardziej w miarę upływających dni, w miarę wzrostu jego ciała i rozwoju zmysłów. Opowieść jest o tyle tylko antropomorfizowana, by umożliwić czytelnikowi zrozumienie mowy zwierząt i ich doznań, poza tym jednak sylwetki czworonożnych bohaterów oparte są o rzetelną znajomość ich życia i zwyczajów, a wszystko wplecione w rytm odradzającej się na wiosnę i zamierającej w zimie przyrody. Tę górską przyrodę autorka opisuje w sposób prosty i sugestywny, nie przesnuwa jej poprzez nastroje, nie zabarwia sentymentalizmem — czyni ją nieodłącznym składnikiem odwiecznych przemian. W życiu zwierząt nie podkreśla szarpiącej walki o byt, lecz przeciwnie — wzajemne współdziałanie natury i stworzeń „w tym radosnym, szczęśliwym zakątku, gdzie każde stworzenie, kwiat i jasne niebo są jak jedno przeogromne wołanie o przyjaźń dla całego świata".

Nie dzieje się dobrze na naszym rynku księgarskim, skoro obok takich książek istnieją inne, cieniutkie broszurki jak „Klinika zwierząt", „Wesołe przygody zwierzątek". Autora, wydawcę, ilustratora i cenę (przed wojną 10—20 groszy) pokrywa dyskretne milczenie. Obrazki i wierszyki — jaskrawe i tandetne — podobnie jak w zbiorku „Koszałki opałki" (wyd. Kowalskiego), lecz na cóż się przyda piętnowanie ich, jeśli i one także muszą spełnić swoją niezbyt zaszczytną rolę społeczną, bowiem dobra książka jest tak droga, że uboższe dziecko nie może sobie na nią pozwolić?

**Krystyna Kuliczkowska**


OFICYNA WYDAWNICZA

Wkrótce ukażą się:

STEFAN OTWINOWSKI

CZAS NIELUDZKI

Str. 128 Zł. 180.—

KRYSTYNA FUZAKOWSKA

MIEJSCE WŚRÓD LUDZI

Str. 136 Zł. 180.—

Zamówienia przyjmuje:

»OFICYNA WYDAWNICZA«

Katowice, ul. Młyńska 2

Konto PKO Nr III/4949

231

OFICYNA WYDAWNICZA

KSAWERY PRUSZYŃSKI

MARGRABIA WIELOPOLSKI

CENA 100 ZŁ

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«

IGNACY CHRZANOWSKI

JOACHIM LELEWEL

CZŁOWIEK I PISARZ

PRZEDSŁOWIEM POPRZEDZIŁ STANISŁAW PIGOŃ

CENA 140 ZŁ

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«

# Korespondencja

### O „BAJKACH" SIEROSZEWSKIEGO
**Do redaktora „Odrodzenia"**

W artykule Wiesława Osterloffa „Kryminalistyka i bajki Grimma" („Odrodzenie" nr 76) znalazł się ustęp następujący:

„A że wpływ ten (baśni Grimma) był przemożny, świadczy przypadek Sieroszewskiego. Sędziwy i szanowny prezes naszej Akademii Literatury zapragnął u schyłku żywota odbyć rozkoszną wędrówkę w krainę czaru lat dziecinnych i spisał bajki, które mu kiedyś dawno niania opowiadała. Nie zauważył jednak wcale, że była to dosyć dokładna kopia grimmowskich „Haus- und Kindermärchen"."

Przypuszczam, że pisząc te słowa p. Osterloff nie miał pod ręką egzemplarza „Bajek" i że opierał się na swej pamięci. Uległ bowiem — zmieniając formę na rzeczową i kulturalną — sugestii kampanii, jaką na kilka lat przed wojną wszczęło przeciwko Sieroszewskiemu „Prosto z Mostu" i inne ONRowskie pisemka.

„Bajki" pisane były nie u schyłku żywota, lecz w r. 1910, tj. w okresie szczytowego rozwoju talentu pisarza. Z czterech utworów, które wchodzą w ich skład, dwa („Przygoda tygrysa" i „W ruinach") zawierają motywy oryginalne, zresztą nie ludowe, nie spotykane ani u Grimma, ani u innych baśniarzy. Dwa pozostałe („Inwalidzi" i „Dary wiatru północnego") czerpią swe źródło z opowieści bardzo starych, sięgających często zamierzchłej przeszłości, do których Sieroszewski sięgnął tak jak sięgał Grimm i Andersen, a przedtem jeszcze „Le Roman du Renart".

Ale wbrew temu, co mogłoby się nasuwać po przeczytaniu artykułu p. Osterloffa — najprawdopodobniej zresztą nie leżało to w zamierzeniach autora — pod względem ideowo-moralnym „Bajki" Sieroszewskiego nie tylko nie ulegają wpływom Grimma, ale są im krańcowo przeciwne. Nigdzie brutalnego naturalizmu, opisów krwi czy tortur, nigdzie sadystycznego lubowania się w udrękach fizycznych i moralnych. „Bajki" przepełnione są głębokim humanitaryzmem, a jeżeli kończą się zwycięstwem sprawiedliwości i pognębieniem zła (czego chyba nie można mieć za złe) — to zwycięstwo to jest wspaniałomyślne i przebaczające, przepełnione wiarą w poprawienie się złoczyńcy.

Są to zapewne pierwsze „Bajki", w których dźwięczy także nuta sprawiedliwości społecznej.

Na potwierdzenie mych wywodów musiałbym przytoczyć całe „Bajki", ograniczę się jednak do zakończenia „Darów Wiatru Północnego":

„Za skarby zbójnickie pobudowali oni gęsto w całym kraju śliczne pałace-szkoły, ochronki, muzea, jasne, czyste jak świątynie fabryki, a wokoło wszędzie mnóstwo domków w cudnych ogrodach pełnych kwiatów i drzew przepięknych, wodotrysków, posągów i innych piękności... Wszyscy mieszkali w takich domkach... Znikły brzydkie, cuchnące gnojówki, odrapane, krzywe chatki, obrzydliwe, błotniste miasteczka... Zniknęła powoli złość, zawiść... Ludzie nie rozumieli, że można się wzajem krzywdzić i zabijać... Nawet zbójników na prośbę królewny ułaskawiono. Tylko tych najbardziej zatwardziałych, co to dla nich krew ludzka stała się jak woda, zamknięto w miejscu przestronnym, otoczonym wysokim murem. Każdy tam miał domek i ogródek, który mógł uprawiać. Nie wolno mu było jedynie wychodzić za bramę..."

Przez lat trzydzieści pięć (ostatnio przed paru miesiącami w „Odrodzeniu") krytyka pedagogiczna prawie jednomyślnie uznawała „Bajki" za wzór dobrej książki dla młodzieży. Jako spadkobiercy Wacława Sieroszewskiego uważamy za swój obowiązek w możliwie najbliższym czasie przez nowe wydanie „Bajek" udostępnić je dziatwie w okresie szkoły powszechnej, tej dziatwie, dla której są przeznaczone.

**Władysław Sieroszewski** (Warszawa)

### NIEMIECKIE BAJECZKI
**Do redaktora „Odrodzenia"**

W obszernym, interesującym i społecznie ważnym artykule „Kryminalistyka i bajki Grimma" („Odrodzenie", nr 76) wydaje W. Osterloff „z punktu widzenia kryminologicznego, społecznego i pedagogicznego" surowy sąd o tych — zdaniem niemieckim — „niewinnych opowiadaniach dziecięcych"; i wyraża zarazem zdziwienie, że u nas dotychczas pomijano te sprawy milczeniem. Ponieważ rzeczywistość nie przedstawia się tak źle, sądzę, że będzie na miejscu uzupełnić brakującą bibliografię przedmiotu i przypomnieć o moim szkicu pt. „Niemieckie bajeczki", drukowanym (w znacznym skrócie) w „Przekroju" (nr 9) w czerwcu ub. roku. Zwróciłam w nim uwagę na te same elementy, które charakteryzuje W. Osterloff, a więc na zbrodniczość, sadyzm, chciwość łupu, rasowe okrucieństwo, krwawy antysemityzm, absurdalne dla przyjemności gnębienie słabszych, na bezlitosny stosunek do ludzi i zwierząt. „U kolebki mitu narodowo-socjalistycznego stoją bajki braci Grimm" pisałam, a w zakończeniu artykułu: „Produktem ponurej niemieckiej wyobraźni długo karmiono nasze dzieci. Chociaż krew słowiańska odporna jest na podszepty sadyzmu — na pewno nie było to pedagogiczne. A w Niemczech mały Fryček zaczytywał się w bajkach Grimmów, a duży Frye szedł mordować, grabić, unicestwiać i bogacić się w sposób nieprawy. Historia pokazała, że niedaleka jest droga od baśni germańskiej do germańskiej kaźni".

Że nie byłam zresztą w mym potępieniu bajek Grimma odosobniona, dowód i w tym, że wystawiona w pewien czas później w krakowskim teatrze dla dzieci przeróbka „Jasia i Małgosi" Grimmów spotkała się z niechęcią sfer rodzicielskich i z krytycznymi uwagami w prasie, wynikającymi z podobnych motywów.

**Maria Szczepańska** (Kraków)

### NADUŻYCIE NEKROLOGU
**Do redaktora „Odrodzenia"**

W numerze 17 „Tygodnika Warszawskiego" z dn. 28 kwietnia br. ukazał się artykuł prof. Piotra Rytla, poświęcony omówieniu twórczości zmarłego niedawno znakomitego kompozytora, śp. Feliksa Nowowiejskiego. Niestety, chwalebny fakt napisania nekrologu ku czci wybitnego muzyka stał się dla autora artykułu okazją do napisania szeregu nieścisłości, dla których taki artykuł jest chyba najmniej odpowiedni. Pisze mianowicie prof. Rytel, że „kiedy wybiła godzina zmagań naszego świata ze światem germańskim, Nowowiejski bądź pisze „Rotę" (r. 1914), bądź idzie na wygnanie ze swego Poznania (r. 1939). Jakże inaczej czynili inni, niestety „polscy" w czasie pokoju muzycy i twórcy". Czytelnik, który nie jest dokładnie obeznany z naszymi sprawami muzycznymi, przeczytawszy takie zdanie będzie miał pełne prawo przypuszczać, że widocznie spora liczba naszych „muzyków i twórców" shańbiła się kolaboracjonizmem i odstępstwem. Tymczasem tak wcale nie jest i prof. Rytlowi, jako recenzentowi muzycznemu, nie wolno tego nie wiedzieć. Polska społeczność muzyczna zmuszona była po skończonej wojnie wykluczyć ze swego grona jednego muzykologa i jednego kapelmistrza; gdzież są zatem ci „twórcy", o których pisze prof. Rytel? Trzeba by zatem zaprosić prof. Rytla o zacytowanie odpowiednich nazwisk, w przeciwnym razie uważać będę jego twierdzenie za całkowicie niezgodne z prawdą.

Poza tym są w artykule prof. Rytla i inne nieścisłości, które należałoby wytknąć. Nie myślę prostować drobiazgów w rodzaju twierdzenia, że Nowowiejski nie manifestował przynależności do modnych „kierunków" i stronił „od tłumu piszących znaczki nutowe na liniowanym papierze", ale są i ważniejsze rzeczy, jak np opinia, że powołane przed łokiem do życia „Polskie Wydawnictwo Muzyczne" działa „niezbyt fortunnie". W tej sprawie rada bym też przeczytać konkretne zarzuty przeciw instytucji, która cieszy się poparciem i współpracą wszystkich wybitnych muzyków polskich, a która w najtrudniejszych warunkach wydała w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy 35 (trzydzieści pięć) publikacji muzycznych, a do końca bieżącego roku wyda dalszych 35 — w sumie 70 pozycji, czyli tyle samo, ile przed wojną wydało Towarzystwo Wydawnicze Muzyki Polskiej w ciągu dziesięciu lat.

W końcu skarży się prof. Rytel na niewykonywanie utworów polskich, „zwłaszcza jeśli nie należą do specjalnego gatunku"; zastanawiam się, o jaki to nieznany mi bliżej gatunek chodzi? A no, przypuszczalnie chodzi o wszelką postępową muzykę, którą prof. Rytel zwalcza w swych recenzjach od wielu lat. Muzycy pamiętają przecież doskonale argumenty, terminy i określenia, jakich prof. Rytel używał w tej walce przed wojną. Dziś w artykułach prof. Rytla nie ma już ani śladu z tych zarzutów, jakimi przez długie lata częstował muzykę modernistyczną na łamach warszawskiej „dwugroszówki". Dziś prof. Rytel sugeruje nie orientującemu się w tych sprawach czytelnikowi, że ów „zgubny wpływ zachodu" na muzykę polską pochodził od Niemców. Szkoda, że w przedwojennych recenzjach prof. Rytla nie czytaliśmy nigdy tego zarzutu. Byłoby może lepiej, gdyby prof. Rytel w swej walce z muzyką współczesną używał nadal argumentów i słownictwa przedwojennego. Ale jeszcze lepiej byłoby nie używać nekrologu poważnego i wybitnego artysty za pretekst do okazywania swoich antypatii artystycznych.

**Barbara Podoska-Palestrowa** (Kraków)

### GDZIE ZNAJDUJĄ SIĘ OBECNIE RĘKOPISY UTWORÓW JULIUSZA SŁOWACKIEGO?
**Do redaktora „Odrodzenia"**

W r. 1939 z Krzemieńca, rodzinnego miasta Juliusza Słowackiego, wyszła myśl urządzenia ogólnopolskiego obchodu 130 rocznicy urodzin i 90 rocznicy śmierci poety. Do głównej, kilkudniowej uroczystości, która miała odbyć się z początkiem września, nie doszło, niestety, z powodu wybuchu wojny.

Jedną z głównych atrakcyj obchodu była wystawa pamiątek, związanych z osobą twórcy „Lilli Wenedy". Najważniejszym działem wystawy były rękopisy utworów Słowackiego, wypożyczone przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Lwowie.

Co się stało z tymi wprost bezcennymi skarbami dla studiów o Słowackim? Mimo moich usilnych starań, podejmowanych w ostatnim czasie, nie mogłem dowiedzieć się niczego pewnego o losach rękopisów poety.

Do Lwowa już nie wróciły wskutek działań wojennych i to jest rzeczą bezwzględnie stwierdzoną. Według pogłosek miano je przewieźć do Polski, gdzie się jednak obecnie znajdują, nie wiadomo. Słyszałem także inną wersję, jakoby rękopisy Słowackiego wywieziono z Polski.

Rzecz jest tak ważna, że uważam za stosowne poruszyć ją publicznie. Oby pod wpływem mojej notatki udało się uzyskać jakieś pomyślne wyjaśnienie, gdzie i jakie rękopisy Słowackiego znajdują się obecnie.

**Wiktor Hahn** (Warszawa)

### NA TEMAT POLSKIEJ „SALMONII" PROF. NOWAKA
**Do redaktora „Odrodzenia"**

W nr 76 „Odrodzenia", w odpowiedziach na ankietę, nad czym pracują polscy pisarze i uczeni, prof. Julian Nowak poinformował, że napisał trzytomowy podręcznik mikrobiologii i książeczkę pod tytułem „Sztuka łowienia na wędkę pstrąga, lipienia i łososia".

Jako wędkarz cieszę się z optymizmu prof. Nowaka, że z wydaniem podręcznika wędkarskiego nie będzie trudności; co do niemożności wydania podręcznika mikrobiologii — owoc 7-letniej pracy — i konieczności proszenia o pomoc Amerykanów, myślę to samo, co pomyśleli wszyscy, którzy przeczytali odpowiedź prof. Nowaka na ankietę „Odrodzenia".

Nawracam jednak do spraw pstrąga. Otóż prof. Nowak ma w historii wiedzy ciekawego poprzednika. Sławny chemik angielski, Humphry Davy (1778—1829), znany ogółowi jako wynalazca lampy górniczej, a kolegom po fachu jako mikroanalityk i badacz sodu, potasu i jodu, napisał podręcznik łowienia łososi pod tytułem „Salmonia". Podręcznik ujęty jest w formie dialogów i dużo miejsca poświęca opisom przyrody. Davy był rodem z Kornwalii i miał usposobienie bardzo romantyczne; w młodości pisywał nawet sonety.

Temat pstrągowy znowu wywija mi się z ręki. Nawracam do niego powtórnie. Krainą pstrąga górskiego jest cała południowa część województwa dolnośląskiego. Przypuszczam, że z czasem będzie to raj wędkarzy, w stylu, w jakim pragnie wychować i wykształcić ich prof. Nowak.

dr **S. B.** (Jelenia Góra)

### APEL
**Do redaktora „Odrodzenia".**

Wobec spalenia w czasie powstania warszawskiego zarówno w naszym mieszkaniu jak i w Archiwum Miejskim st. m. Warszawy w Arsenale rękopisów śp. męża mojego Andrzeja Struga, pierwodruków, prac o nim, dokumentów szerokiej działalności społecznej i politycznej, portretów, zbioru fotografij, dokumentów osobistych, wszystkich eksponatów wystawy pośmiertnej „Andrzej Strug jako pisarz i człowiek" oraz osobistych pamiątek, zwracam się tą drogą z gorącą prośbą o pomoc w zebraniu zapewne istniejących a rozproszonych śladów prywatnego, literackiego i politycznego życia Andrzeja Struga.

Za każdą wskazówkę, fotografię, skrawek jego pisma, wycinek z przedwojennej prasy, osobiste wspomnienie itp., które uprzejmie proszę kierować do mnie — Warszawa (Praga), Jagiellońska 32 m. 29 — bądź do redakcji „Odrodzenia" dla mnie, składam z góry najserdeczniejsze podziękowanie.

**Nelly Gałecka-Strugowa**

PS. Poszukuję niewydanej dotąd w książce, drukowanej w dzienniku lwowskim „Wiek Nowy" w roku 1913 powieści A. Struga „Zakopanoptikon", zachowanej może w komplecie odcinków w czyim prywatnym księgozbiorze, konspiracyjnej „Gazety Ludowej" wydawanej w Warszawie w latach Rewolucji 1904—1906 pod redakcją A. Struga oraz broszurek Andrzeja Skiby, w celu przepisania i zebrania prac publicystycznych męża.

### PROTOKÓŁ
**Do redaktora „Odrodzenia"**

Protokół posiedzenia Sądu Koleżeńskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich, oddział w Łodzi z dnia 8 maja 1946 r.

Sąd Koleżeński w składzie: Jan Kott, Seweryn Pollak. Władysław Rymkiewicz rozpoznawał w dniu dzisiejszym sprawę kol. Jana Huszczy przeciwko kol. Jerzemu Wyszomirskiemu, wznowioną z powodu felietonu kol. Wyszomirskiego pt. „Minimalna satysfakcja", zamieszczonego w nr. 15 „Dziennika Łódzkiego" z dnia 28 kwietnia 1946 r.

Wyrokiem z dnia 18 kwietnia 1946 r. Sąd Koleżeński zobowiązał kol. Jerzego Wyszomirskiego do udzielenia kol. Janowi Huszczy minimalnej satysfakcji przez wyjaśnienie w „Dzienniku Łódzkim", że ustęp odnośnie do pewnego literata z Wilna nie dotyczy kol. Jana Huszczy.

Sąd Koleżeński stwierdza, że kol. Jerzy Wyszomirski wywiązał się pozornie tylko z nałożonego nań obowiązku, natomiast w cytowanym artykule usiłował obniżyć powagę Sądu Koleżeńskiego.

Z uwagi na to, że instytucja Sądów Koleżeńskich ma duże znaczenie społeczne i podważanie jej autorytetu jest obiektywnie szkodliwe, Sąd Koleżeński postanawia:

Zawiesić kol. Jerzego Wyszomirskiego w prawach członka Związku Zawodowego Literatów Polskich Oddział w Łodzi na okres jednego miesiąca, poczynając od dnia 10 maja 1946 r.

Wyrok powyższy Sąd Koleżeński postanawia opublikować.

**Jan Kott, Seweryn Pollak, Władysław Rymkiewicz**

### DWA BŁĘDY
**Do redaktora „Odrodzenia"**

W numerze 75 „Odrodzenia" z dnia 5 maja rb. znalazłam w „Kronice francuskiej" dwa błędy.

1. Tytuł filmu „Bataille du Rail" tłumaczy autor „Bitwa na torach kolejowych", gdy właściwe tłumaczenie powinno brzmieć: „Bitwa o tor kolejowy". Różnica w sensie tych dwóch tłumaczeń jest oczywista.

2. Tytuł książki Jean Louis Bory „Mon village à l'heure allemande" został przełożony: „Moja wioska w godzinie niemieckiej". Przypuszczam, że autor „kroniki francuskiej" nie uchwycił tutaj znaczenia terminu „heure allemande", którym wieśniacy francuscy określali urzędowy czas letni, o dwie godziny wcześniejszy od czasu słonecznego i pod wyrażeniem „godzina niemiecka" rozumiał okres okupacji niemieckiej, godzinę niemiecką w historii Francji. Sądzę, że w świetle powyższego wyjaśnienia tytuł wspomnianej książki powinien brzmieć raczej „Moja wioska według godziny niemieckiej", ale przyznaję równocześnie, że, jak to już wielokrotnie stwierdziłam, w wypadku tym precyzja języka francuskiego nie znajduje właściwego odpowiednika w polskim i każdy przekład będzie niezgrabny.

**Jadwiga Wierzbicka** (Katowice)

### WYJAŚNIENIE
**Do redaktora „Odrodzenia"**

W artykule pt. „Życie muzyczne w Krakowie" Stefanii Łobaczewskiej, zamieszczonym w nr. 15 z dnia 5 maja br. „Odrodzenia", autorka felietonu dwukrotnie podkreśliła, że inicjatorem cyklu „Sylwetki współczesnych kompozytorów", nadawanego obecnie w programach „Polskiego Radia" jest „Polskie Wydawnictwo Muzyczne".

Dla ścisłości pragnę na tym miejscu informację tę sprostować o tyle, że inicjatorem wyżej wymienionego cyklu było „Polskie Radio", „Polskiemu Wydawnictwu Muzycznemu" przypadło zaś w udziale jego opracowanie i realizacja.

**Roman Jasiński**

naczelnik Wydziału Muzycznego Polskiego Radia

### SPROSTOWANIE
**Do redaktora „Odrodzenia"**

Pragnęłabym sprostować drobny błąd, jaki wkradł się do artykułu T. Witka pt.: „Ruch odrodzenia narodowego" w nr 70 „Odrodzenia". W artykule tym podano mylnie imię znakomitego fizyka francuskiego Joliot-Curie, który nazywa się Frédéric, a nie Edouard, jak napisał p. Witek.

**Wanda Wertenstein** (Łódź)

# Surrealizm daje znaki życia

Surrealizm, którego upadek lub rychły koniec ustawicznie zapowiada się, mimo tych proroctw jeszcze ciągle daje znaki żywotności. Pytanie, czy jego długowieczność zawiera w sobie pierwiastki twórcze, czy jest to już raczej tylko eksploatowanie żywotnych idei niegdyś zrodzonych. Faktem jest jednak, że surrealizm ciągle jeszcze pobudza wyobraźnię ludzi, powoduje sprzeciwy, reakcję, drażni mieszczuchów, obraża snobów. A zdawało się już, że snobi przyswoili go sobie. W świecie mówi się jeszcze wiele o surrealizmie, w Nowym Jorku powstało nawet sprzyjające mu środowisko, do którego wielu artystów urządziło exodus z Paryża.

Tu parę słów o wystawie surrealistów w Paryżu w r. 1944, gdyż dopiero teraz docierają do nas bliższe wiadomości. Surrealizm ma już swą historię i literaturę we wszystkich językach, objawia się we wszystkich dziedzinach sztuki. Dziś krytyka artystyczna nie zajmuje się formowaniem jego teorii, która się już ustaliła, ale raczej konfrontuje ją z dziełami artystów i stara się uzasadnić jego znaczenie w ogólnym rozwoju artystycznym.

Sądząc z reprodukowanych w czołowych czasopismach francuskich obrazów, wystawa paryska z r. 1944 nie przyniosła żadnych rewelacji. Surrealizm wszedł w okres przetrawiania ustalonych wartości. Niektóre z wystawionych dzieł Paryż miał już sposobność poznać na wystawie surrealistów w Galerie des Beaux-Arts w r. 1938, np. manekiny kobiet, uosabiające dziwne stany duszy, przybyło tylko poetyckie określenie: „Jestem przy Tobie, aby Ci dać wszystkie gwiazdy nieba w jednym pocałunku na twe oczy, wszystkie pocałunki świata w jednej gwieździe na usta". Niektóre z obrazów były już również wystawione w Paryżu w r. 1938, np. obraz Maxa Ernsta z r. 1937, tylko że wtedy nazywał się „Tryumfem miłości", a obecnie towarzyszy mu myśl poetycka P. Eluarda: „Ty się unosisz woda się uchyla, Ty się kładziesz woda się rozlewa".

Surrealizm mieści w sobie wieloznaczność, więc i taka zmiana treści wewnętrznych musi być uznana. Obraz Toyena z r. 1937 nazywał się przedtem „Senna", obecnie towarzyszą mu słowa Supervielle'a: „Pour faire une ronde, il faut au moins être trois". Yves Tanguy, w swoim malarstwie nie zmieniający się od lat, dał obraz z r. 1935, który wtedy nosił tytuł „Teoria sieci", w r. 1944 wystawił go ze słowami „Samotność jest pomnożeniem samego siebie", co bardziej tłumaczy fantastyczny świat jego form.

To zabawne zestawienie zmiany tytułów czy określeń obrazów wcale nie zmierza do parodiowania surrealizmu, jest tylko prostym stwierdzeniem. Wiemy wszakże, że niektórzy surrealiści wyszukiwali nazwy dla swych obrazów przez znalezienie słów w przypadkowo otwartej książce, mogą więc i zmieniać tytuły.

Przejmujący w swym wyrazie jest rysunek Massona z r. 1939, przedstawiający fantastyczną głowę ludzką, którą objaśniają słowa Aragona „Będę krzyczał będę krzyczał w mieście, które płonie, aby dotrzeć do uszu lunatyków spacerujących po dachach".

Przenikanie się widzeń poetyckich i plastycznych obrazów, cecha charakterystyczna dla surrealizmu, decyduje nadal o charakterze tej sztuki.

Jeśli idzie o wartości czysto plastyczne, to nadrealizm nie wniósł ostatnio nowych elementów. Salvador Dali w kompozycji z roku 1940 uprościł może nieco swą wizję. Dominguez daje fantastyczny obraz, który łączy się z poezją Eluarda, odmienne wartości wnosi dawny obraz Paalena z r. 1935 („Samotność poezji i snu odrywa nas od naszej beznadziejnej samotności"), który jest powiązaniem abstrakcyjnych, czysto plastycznych elementów.

Nie zaliczamy się do wielbicieli surrealizmu, tylko po prostu notujemy oznaki jego istnienia.

**hb**

# Wśród książek

**Jerzy Zawieyski.** Droga do domu. Powieść. Warszawa, E. Kuthan, 1946; str. 320.

Książka Zawieyskiego jest z gatunku opowieści rozłożonych na elementy, które normalnie w beletrystyce zwykło się odkrywać w stadiach dramatycznego narastania. Z tych zamierzeń „Droga do domu" jest całkowicie rozładowana, wiadomości bowiem o postaciach czerpiemy z relacji, z pamiętnika, który też prawie pomija fakty, a w całości jest poświęcony komentarzowi zdarzeń bliżej nam nieznanych. Wysiłek więc autora idzie do pewnego stopnia na marne w tym przerośnie komentarza bez pokrycia, przy największej bowiem wnikliwości psychologicznej i subtelności w komponowaniu „aury" — niesposób się tutaj wystrzec pogmatwania linii rozwojowej charakterów nijak nie postawionych; przeto i sprawdzianów właściwości czy niewłaściwości ich postępowania trudno się doszukać.

Pamiętnik pisze lekarz, który ze swej struktury psychicznej raczej jest podobny do pisarza i filozofa. Przedmiotem i celem piszącego jest zdanie sobie sprawy z najskrytszych tajników własnej duszy i z kontaktów z otoczeniem. Analiza samego siebie ma piszącemu pomóc nie tylko w zrozumieniu własnej osobowości, ale we wprzągnięciu jednostkowej egzystencji w biologiczny cykl pokoleń, wybiega wstecz ku przodkom, legitymującym się tymi samymi genami, co kronikarz, w swych ambitnych zamierzeniach pragnie znaleźć sens ponadczasowy i ogólnoludzki w tej płynnej magmie czasu i zdarzeń, których jednostka jest tylko cząstkowym i przeto oszukanym w swej bezsile — uczestnikiem. Temu głównie celowi jest poświęcona pierwsza część „Drogi do domu" — „Księga narodzin i śmierci", w której autor chwytając się pierwszego ogniwa cyklu-ojca, szuka afirmacji wymykającego mu się sensu istnienia. „Droga do domu" jest drogą do samego siebie, pogodzonego i zharmonizowanego ze światem. Przypomnę tu podobny wysiłek w ogarnięciu niepochwytności zdarzeń u St. Ign. Witkiewicza, który chciał oddać w całej swej twórczości powieściowej „dziwność istnienia", i zrobił to w bardziej krwisty i buntowniczy sposób, niż Zawieyski.

W dwu następnych częściach: „Bezmiar" i „Teresa" — autor daje zarys dwu postaci kobiecych, z którymi skrzyżował się los Pawła. Pierwsza — Maria — była żoną przyjaciela Adama, druga — Teresa — jest rekonwalescentką po wielkiej i „niepowtarzalnej" miłości do zmarłego narzeczonego Andrzeja. Postawienie autorowi żądania, by z tych ludzkich konfliktów wydobył trochę prawdziwego, doczesnego tragizmu — wydaje się krytykowi czymś wręcz nietaktownym. Cieplarniana atmosfera intelektualna, którą autor rozsnuwa wokół swych postaci, pełna przydechów, przystanków, namysłów — nie dopuszcza do ujawnienia się konfliktu w jego nagim, rzeczowym pragmatyzmie: przyczyny i skutku. Toteż i obie wprowadzone kobiety, Maria i Teresa, podobnie jak inne, epizodyczne postaci, przypominają raczej spirytystyczne emanacje, niż ciała z krwi i kości. Maria występuje w dualistycznej postaci z bratem Krzysztofem, którego śmierć samobójczą spowodował Paweł, zaszczepiając mu niewiarę w życie, Teresa znowu z atrybutami heroiny i mocnego, świadomego celów charakteru, celebruje swoją doskonałość w stratosferze duchowej i nawet wspólny jej udział z Pawłem w konspiracji nie potrafi jej zbliżyć czytelnikowi na dystans intymności i wzruszenia, gdyż za mało o niej wiemy.

Paweł zginął w obozie koncentracyjnym, zastrzelony w momencie, kiedy pochylony nad skatowanym towarzyszem niedoli wypełniał swą ostatnią funkcję lekarza i człowieka, a jego pamiętnik jest przedmiotem korespondencji między przyjacielem Adamem a bratem przyrodnim Bohdanem. Jeszcze więc jeden, aczkolwiek skromny rozmiarami komentarz do komentarza ma nam przybliżyć los Pawła i przydać sensu zawiłej ikonografii tego istnienia. Jeśli u podstaw koncepcji autora były jakieś prawdziwe zdarzenia, to szkoda tym większa, że pod piórem zostały tak odbarwione i oddalone od oka. Niesposób oprzeć się wrażeniu, że autor na marginesie dostępnych mu faktów chciał za dużo wypowiedzieć z własnych wiadomości o życiu i nie potrafił znaleźć dość mocnego oparcia dla swych dociekań. Szczodre szafowanie refleksjami na temat upływania i indywidualnych doznań przemijania czasu (lektura: „fenomenologia" Husserla) i spór determinizmu i indeterminizmu z uwzględnieniem czasu fizykalnego według Einsteina — samo dla siebie interesujące — zajmuje jednak za dużo miejsca w książce, gdyż ma charakter ogólny i nie jest specjalnie usprawiedliwione wybraną do relacji treścią.

W całości „Droga do domu" jest lekturą kulturalną, ale uciążliwą nawet przy najlepszych chęciach czytelnika i odpowiednim przygotowaniu. Do niewątpliwych zalet książki należą jej właściwości stylistyczne, o pełnym dobrze modulowanym zdaniu. Ale — niestety — prawie zawsze o duszy człowieka więcej mówi chropawy rysunek mamuta, ryty ręką barbarzyńcy na ścianie prehistorycznej jaskini, niż wysublimowany, „cienki" w fakturze portret imaginacyjny.

**Marian Promiński**

---

W poprzednim (77) numerze „Odrodzenia" z dnia 19 maja 1946: **Anatol Listowski:** O nauce i uczonych. — Malarstwo polskie **(Artur Grottger).** — **Kazimierz Andrzej Jaworski:** * * *. — **Jerzy Barski:** O centralnej organizacji badań naukowych. — **Witold Ziembicki:** Frakastor. 1546—1946. — **Stanisław Gerstmann:** O Chochole i Wernyhorze. — **Wacław Kubacki:** Nowa Gigantomachia czyli Oblężenie Częstochowskiej Biblioteki Miejskiej przez Bank Gospodarstwa Krajowego. — **Józef Sieradzki:** Józef Opałka zbiera miny. — **Zdzisław Olszewski:** Najduch. — **Alina Świderska:** Czy naprawdę koniec „legendy"? — **Hanna Mortkowicz-Olczakowa:** Plotka na marginesie portretu. — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia". **(Bolesław Józef Gawecki, Walery Goetel, Jadwiga Kozłowska, Julian Makowski, Tadeusz Milewski, Wojsław Molè, Kazimierz Paszkowski, Fryderyk Pautsch, Stanisław Pazurkiewicz, Kazimierz Piwarski, Józef W. Reiss, Ludwik Świeżawski, Stanisław Urbańczyk, Franciszek Ksawery Walter, Józef Widajewicz, Władysław Wolter, Juliusz Żuławski).** — **Stefan Flukowski:** Dwa teatry jednej rzeczywistości. — **Stefania Łobaczewska:** Życie muzyczne w Krakowie. — **Tadeusz Breza:** Sztuka w poszukiwaniu moralu. — Oświadczenie w sprawie teatralnej. — Nagroda literacka „Odrodzenia". — **Stefan Papée:** „Oryginalny wykład" literatury polskiej. — **zb:** Pozycja sztuki. — **wn:** Kronika francuska. — 4 ilustracje. — 12 stron.

# Traduttore-traditore

Że tłumacz bywa często zdrajcą w stosunku do autora, o tym wiadomo od dawna, a wiele spośród utworów tłumaczonych potwierdza słuszność włoskiego przysłowia. Ta zdrada, przeważnie zresztą nieświadoma, mimowolna, dokonywana jest nie tylko w dziedzinie przekładów poezji, gdzie tłumacz pokonywać musi aż nadto zrozumiałe trudności i opory. Nie zawsze zwycięska walka z nimi rodzi niejednokrotnie curiosa i potworności, o których pisał niedawno ciekawie m. in. Seweryn Pollak w „Kuźnicy", omawiając przekłady z poezji rosyjskiej. Ale i w przekładach utworów prozatorskich, które nie nakładają na tłumacza zbyt daleko idących skrępowań i ograniczeń, spotykamy się niemal co dnia z przejawami „zdrady", czyli wypaczania i przeinaczania oryginalnego tekstu, choć zdawałoby się grunt tu jest pewniejszy, nie nastręczający tylu okazyj do potknięć i poślizgnięć.

Nie lubię rodzynków w cieście, ale z pewnym upodobaniem wynajduję w druku rodzynki przekładowe i nawet delektuję się nimi na swój sposób. Nie wiem, czy to pedanteria, czy przesadne skłonności krytyczne; swoistej satysfakcji nie chcę jednak odczuwać zbyt egoistycznie — i dlatego o tych sprawach kilka słów poniżej.

W tłumaczeniu pewnego opowiadania Louis Aragona znalazłem niedawno passus o człowieku, który „kawałek żółtej i zielonej **tapety** (podkreślenie moje B. D.) nosił zamiast szalika"... Ponieważ nie mam wątpliwości co do stanu umysłowego znakomitego autora, a i ów człowiek z szalikiem jest zupełnie normalny, nie mogę sobie w żaden sposób wyobrazić, dlaczego miałby nosić na szyi kawałek... tapety, nie chroniącej od zimna, a zbytnio podatnej na wilgoć i w ogóle wpływy atmosferyczne. Oryginału pod ręką nie mam. Gotów jestem jednak przysiąc, że ten szalik nie był z tapety, lecz na pewno z portiery, firanki, obicia („tapisserie"?) czy też jakiejś innej włóknistej materii.

Gdzie indziej znowu tłumaczy ktoś recenzję francuską z głośnej powieści Romain Gary'ego — „Education Européenne", podając taką konkluzję o talencie autora: „Dzieli go od pisarzy wielkiej miary bardzo wiele, **jednakże** (podkreślenie moje — B. D.) trudno p. Gary do nich zaliczyć". Nie zrozumiem nigdy, skąd się tu wzięło to „jednakże". Skoro „dzieli go od pisarzy wielkiej miary wiele", to jasna rzecz, że właśnie **dlatego** „trudno p. Gary do nich zaliczyć".

Bardzo zabawny lapsus zdarzył się pewnemu poecie, który w artykule na łamach popularnego tygodnika wspomniał m. in. o Villonie. Licząc się z **nieznajomością** francuszczyzny wśród czytelników, a ufając nadmiernie znajomości własnej, autor artykułu podaje w nawiasie obok nazwiska Villona objaśnienie: „czytaj Wiją"... A właśnie że nieprawda. Villon **wyjątkowo** czyta się „Wilą", podobnie zresztą jak pokrewne słowa „ville" lub „village", gdzie — wbrew regule wymowy — podwójne **l** nie ulega zmiękczeniu... Oto skutki niepotrzebnych popisów lingwistycznych.

Z francuszczyzną na razie dość. Prócz utworów literatury francuskiej, przekłada się dziś u nas głównie autorów rosyjskich. Tu dopiero szaleństwo tłumaczy znajduje dla się pole nieograniczone. Złudzeni i wprowadzeni w błąd fonetyczną tożsamością pewnych słów rosyjskich i polskich, tłumacze nasi dokonują wyczynów wprost nieprawdopodobnych, mogących przyprawić o utratę przytomności ludzi, którzy znają nieco lepiej język rosyjski... Ale zacznę od czegoś innego.

W tłumaczeniu fragmentu powieści Ilii Erenburga znalazłem scenę, w której pewna młoda para na jakimś placu paryskim gryzie czy chrupie „fistaszki". Z tymi groteskowymi „fistaszkami" spotykałem się już nieraz w przekładach przedwojennych. Zagadka nie jest trudna do rozwiązania. „Fistaszki" po rosyjsku — to po polsku — pistacje, a co to są pistacje, wie każdy, kto choć raz w życiu w polskiej cukierni jadł lody pistacjowe. Ale tłumacze nie wiedzą. Szkoda.

Inny tłumacz w przekładzie opowiadania rosyjskiego pisarza Dalekiego tłumaczy sobie bez skrupułów słowo „gołoworicz" na „ścinacza głów". Zapewne, etymologicznie odpowiednik nie jest najgorszy. Tylko że w polskim brzmieniu ten „ścinacz głów" nazbyt mi jakoś przypomina np. „łamacza lodów". Bo w rzeczywistości „gołoworicz" znaczy po polsku „zuchwalec", „śmiałek", „zabijaka" — i takie też jest znaczenie słowa „gołoworicz" w tekście rosyjskim.

A teraz — trochę o tych wspomnianych wyżej fonetycznych tożsamościach. Jest ich sporo, mają siłę kuszącą i wiodącą na przekładowe manowce. Tak np. rosyjskie „kriesło" tłumaczone jest niemal z reguły przez tłumaczy polskich jako „krzesło", co jest niesłuszne, gdyż „kriesło" znaczy „fotel", natomiast polskie „krzesło" to rosyjski „stuł". A znowu nasz „stół" znaczy po rosyjsku „stoł". Nie są wcale humorystyczną anegdotą przekłady, w których rosyjskie słowo „diwan" tłumaczy się prosto z mostu jako „dywan", choć naprawdę „diwan" — to po polsku „kanapa", „otomana". Bardzo niebezpieczne jest też rosyjskie słowo — „kawior", które po polsku znaczy wcale nie „kawior", lecz właśnie — „dywan". „Kawior" to po rosyjsku „ikra" — i zdawałoby się, że w tym punkcie osiągnęliśmy nie tylko fonetyczną, lecz i znaczeniową zbieżność pomiędzy bratnimi językami, bo i po polsku przecież „ikra" oznacza jajeczka rybie. Ale niestety, i tu czyha językowa zasadzka, albowiem „ikrà" ma w języku rosyjskim jeszcze sens homonimiczny, mianowicie znaczy też — „łydka" (sic!). Niedoświadczony lub nieuważny tłumacz, który z kanapy fabrykuje dywan, może z równą beztroską przerobić zgrabną łydkę kobiecą na — kawior.

Oto przekładowe dole i niedole, które przypominają mi po trosze dawne lata gimnazjalne. Miałem kolegę, który nie bez dowcipu igrał sobie słowami łacińskimi o fonetyce podobnej do słów polskich lub innych. Ten mały urwis tłumaczył „noceo" — „nocuję", „gutta cavat"... — „dobra kawa" itd. itd. No, ale to było, zdaje się, w pierwszej gimnazjalnej dawnego, rosyjskiego typu.

Oczywiście, dobry, a nawet poprawny przekład nie jest rzeczą łatwą. Nie każdy może i potrafi osiągnąć takie wyżyny sztuki tłumaczenia, na jakie wspiął się u nas np. Boy-Żeleński. Ale od każdego, kto zdecydował się tłumaczyć z języków obcych, mamy prawo wymagać przede wszystkim szacunku dla autorskiego dzieła, by zaś dać wyraz temu respektowi nie wystarczą dobre chęci, powierzchowna znajomość obcego (a czasem i własnego) języka, tudzież pękaty słownik pod ręką. Żeby tłumaczyć, trzeba mieć niemal doskonałą znajomość nie tylko form, ale i ducha obcego języka, trzeba rozumieć i odczuwać synonimiczne odcienie słów i nie gubić się bezradnie wśród groźnych dla polskiego tekstu obcych homonimów. Gdy tych umiejętności i wiadomości nie ma, rodzą się niebotyczne bzdury przekładowe, uwłaczające autorowi, ośmieszające tłumacza. Krytyczniejszy, bardziej świadomy czytelnik wzruszy wobec tych dziwolągów ramionami, nieraz uśmieje się serdecznie z wpadunku tłumacza i — będzie czytać dalej. Ale czytelnik innego pokroju, którego trzeba dopiero przyzwyczajać do lektury w ogóle, obleje się siódmym potem utknąwszy na jakiejś brechcie, daremnie silić się będzie uchwycić wątek sensu, wreszcie zaklnie siarczyście i zabierze się do jakiejś przyjemniejszej pracy. A to jest właśnie, moim zdaniem, najmniej pożądane.

Nie jestem zwolennikiem starożytnej recepty, według której napisane — po siedmiu latach dopiero nadaje się do publicznej prezentacji. Sądzę, że — zwłaszcza jeśli chodzi o przekłady — termin ten można wydatnie skrócić, postarawszy się o życzliwą i kompetentną pomoc postronną, by wspólnym wysiłkiem tłumacza i doradcy oczyścić rękopis przed oddaniem do druku z rozmaitych „fistaszek" i temu podobnych — ozdóbek.

**Bolesław Dudziński**

# Życie muzyczne w Krakowie

Koncertem piątkowym i porankiem niedzielnym w Filharmonii w dniach 17 i 19 maja dyrygował **Zdzisław Górzyński.** Oba koncerty należały do najlepszych w bieżącym sezonie.

Nowością był Koncert fortepianowy **Tadeusza Szeligowskiego** wykonany przez **Stanisława Szpinalskiego** z towarzyszeniem orkiestry. W dorobku współczesnej muzyki polskiej jest to dzieło niewątpliwie wartościowe. Największą jego zaletą jest bezpośredniość, która ujmuje słuchacza zwłaszcza w części pierwszej. Mimo pewnych ech Strawińskiego i Prokofiewa, a w ostatniej części — Szymanowskiego (IV. Symfonia), mimo instrumentacji może nieco za masywnej, która często kryje zanadto fortepian i pomimo niektórych tematów trochę zbyt łatwych, słucha się tego Koncertu z zapartym oddechem, zwłaszcza w tym wykonaniu, jakie nam dał Szpinalski i Górzyński. Szpinalskiego określić można jako idealnego interpretatora tego rodzaju muzyki: technicznie i kolorystycznie wyposażył utwór Szeligowskiego we wszystkie możliwe efekty, których zrealizowanie jest warunkiem koniecznym jego powodzenia. Podobnie zresztą i Górzyński, rasowy kapelmistrz i muzyk, który święcił tego wieczoru wielkie tryumfy. Jego doskonała technika dyrygencka, silna ręka i żywiołowy temperament wysuwają go na czoło współczesnych dyrygentów w Polsce. Orkiestra staje się pod jego ręką żywym organizmem, świetnie zespolonym, wszystko nabiera życia, tempa, barwy.

Obok Koncertu Szeligowskiego umieścił Górzyński w programie wieczoru piątkowego Mussorgskiego fantazję „Na Łysej Górze", Opieńskiego poemat symfoniczny „Zygmunt August i Barbara" oraz Wallek-Walewskiego poemat symfoniczny „Paweł i Gaweł". Kompozycje Opieńskiego, zasłużonego, podczas wojny zmarłego kompozytora i muzykologa, winny niewątpliwie znaleźć się w naszych programach koncertowych. Opieński nie był nowatorem, ani talentem na miarę Szymanowskiego czy nawet Karłowicza. Pomysły jego należą do szkoły Wagnera i Ryszarda Straussa, muzyka jego zawsze zainteresuje słuchacza, posiada bowiem duży kunszt.

Zalety te wystąpiły zwłaszcza w zestawieniu z wykonaną tego samego wieczoru kompozycją Walewskiego, kompozytora krakowskiego, znanego przede wszystkim z dobrych utworów chóralnych, który położył duże zasługi dla życia muzycznego w Krakowie w okresie międzywojennym. Ten „żart symfoniczny" — jak go program określa — pomyślany był jako ilustracja do znanej gawędy Fredry. Walewski wykazuje tu niewątpliwie duże wyczucie możliwości ilustracyjnych muzyki, jest jednak rzeczą pewną, że środki, którymi się posługuje wydają nam się dziś już tak dalece niewspółmierne z tymi, których użyłby dla tych celów kompozytor współczesny, że efekt komiczny wywołany tym utworem powstaje nie tam, gdzie chciał go widzieć twórca.

Mussorgskiego „Noc na Łysej Górze" jest jednym z utworów dla potężnego talentu jego autora mniej charakterystycznych. Nie ma w nich właściwego mu rozmachu i siły, są natomiast często konwencjonalizmy, niezupełnie zrozumiałe u twórcy „Borysa Godunowa". Trudno zresztą wiedzieć, wiele zawinił tu sam Mussorgski, a wiele Rimski-Korsakow, który utwór ten nie tylko zinstrumentował, ale podobno w dużej mierze przerobił. Wydaje się jakoby te konwencjonalizmy, psujące wrażenie „Nocy na Łysej Górze" pochodziły nie od Mussorgskiego, ale raczej od Rimskiego-Korsakowa. Trącą stylem jego instrumentacji i niektórych jego kompozycji wzorowanych na muzyce zachodnioeuropejskiej.

Na poranku niedzielnym dał Górzyński program dość mieszany pod względem wartości i smaku, ale zawsze świetnie ujęty. Raziły zwłaszcza muzyka baletowa z „Giocondy" i muzyka „orientalna" z „Otella" Verdiego. Orientalizm Verdiego, ubrany w kostium operowy i wyrażony językiem włoskim jest dziś naprawdę nie do zniesienia, podobnie jak i muzyka baletowa „Giocondy", która robi wrażenie składu tandetnych drobiazgów, zapełniających salony mieszczańskie w ósmym dziesięcioleciu ub. wieku. Czy warto zdejmować gruby pokład kurzu, który na nim narósł? Chyba nie. Rzecz inna, że ułożenie programu tego typu, który niewątpliwie ma swoje uzasadnienie w koncertach popularnych, nie jest bynajmniej łatwe właśnie z braku materiału. Wydaje mi się, że obok innych zamówień powinno istnieć także i zamówienie na dobrą muzykę baletową, taneczną itp., które wybawiłoby organizatorów od podobnych kłopotów. Borodina „Tańce połowieckie" stanowią w tym repertuarze jeden ze szczęśliwych wyjątków. Jest to muzyka, której zawsze słuchać można, a Górzyński zrobił ją znakomicie. Na zakończenie usłyszeliśmy T. Sygietyńskiego „Taniec góralski", utwór oparty na miłych góralnych piosenkach, choć nieciekawie opracowany. Wpada on w błąd bardzo częsty w tego rodzaju wypadkach: za dużo komplikacji, za wiele europejskości (instrumentacja!), a równocześnie za wiele prostoty, oczywiście nie w inwencji, ale w samej konstrukcji i w układzie.

**Stefania Łobaczewska**

# Repatrianci z Białowieży

— Dlaczego od niego wszyscy stronią?...
— To kolaboracjonista; brał udział w przyjmowaniu Goeringa!...

rys. Charlie

# KRONIKA FILMOWA

**„Było ich dziewięciu"**, film produkcji angielskiej, reż. **Harry Watt.**

Jest to opowieść z batalistycznej serii, dyskretnie zabarwiona propagandą tężyzny żołnierzy angielskich, z położeniem nacisku na tym, że ze zwykłej cywil-bandy, fabrykantów wody sodowej itp. da się zrobić bohaterów. Sierżant (aktor — **Jack Lambert**) opowiada po żmudnych ćwiczeniach swoim wychowankom historię załogi jednego auta, które ugrzęzło w piachu pustyni libijskiej, gdy kolumna poszła dalej. Sierżant jest uczestnikiem tego wojennego epizodu i głównym aktorem, a jego opowiadanie ma cel pedagogiczny: pouczenie nowicjuszy o zadaniach żołnierza, o kardynalnych obowiązkach — wytrzymałości, poświęcenia dla sprawy, koleżeństwa broni, a nade wszystko umiarkowanego optymizmu, który niejednokrotnie decyduje o powodzeniu.

Zagubiony w pustyni oddziałek zabarykadował się w ruinach kamiennego domku, niewiele większego niż kopiec termitów i przez dobę wytrzymał szturm dziesięciokrotnie silniejszego nieprzyjaciela — aż do nadejścia odsieczy. Wróg był coprawda niezbyt krzepki — reżyser wybrał sobie do tego celu Włochów — ale w każdym razie synowie Albionu, nie tracąc humoru w najgorszych sytuacjach, dokazywali cudów waleczności i sprytu, by wyjść cało z opałów tracąc tylko dwóch ludzi i to nie wskutek bezpośrednich działań przeciwnika. Włosi są potraktowani nie według zasady fair play i rozprawa z nimi przypomina trochę grę w piłkę do jednej bramki. Nie szczędzi się im wyzwisk od „makaroniarzy" i „lodziarzy" począwszy, a walka na białą broń ma kilka drastycznych i brutalnych efektów.

Strona artystyczna — bez zarzutu. Aktorzy grają bardzo dobrze, akcja ani na chwilę nie traci napięcia, a tłem są piękne zdjęcia terenowe.

**„Wołga... Wołga"**, film produkcji sowieckiej „Mosfilm", reż. **G. Aleksandrow.**

Sowieckie komedie muzyczne stanowią dość odrębny gatunek filmowy i warto im poświęcić w omówieniu nieco miejsca. Począwszy od znanej jeszcze sprzed wojny groteski „Świat się śmieje" po „Wołgę... Wołgę" — reżyseria, jakby pozostająca przez cały czas w jednym ręku, specjalizuje się w tym właśnie groteskowym widzeniu świata, używając do tego montażu dźwiękowego i zdjęć trickowych. Film zaczyna się zwykle zupełnie niewinnie wcale banalną i w ramach skeczu utrzymaną akcją, by w miarę rozgrywania się stopniować efekty, nieprawdopodobieństwa i kończyć jazdą na całego w abstrakcyjnej krainie czystego nonsensu w doskonałym stylu. Mimo bowiem pozornej łatwości i przystępności dla każdego widza tego widowiska — pełną korzyść ma z niego tylko ów widz inteligentny, który rozumie intencję w karykaturze i polot w niczym niehamowanej bladze zdjęć trickowych.

„Wołga... Wołga" jest chyba najpełniejszym wcieleniem tego gatunku. Historyjka jest taka, że na ogłoszoną w Moskwie olimpiadę muzyczną śpieszą z głębokiej prowincji dwa zespoły, jeden jakoby zawodowców, drugi samorodnych talentów, rekrutujących się z szarych obywateli w tym miasteczku, które całe „gra i śpiewa". Jest jeszcze okaz biurokraty i snoba, „ważniaka", który by chciał w swej głupocie zastąpić drogę prawdziwym talentom do zasłużonych laurów i sam przez to wpada w niesłychane kabały. Na nic się nie zda jednak jego pogoń za własną chwałą — funkcjonariuszka pocztowa zwana „Strzałką" i tak zdobywa puchar za pieśń o Wołdze, a ob. Bywałow tylko się wygłupił. Większa część filmu rozgrywa się na Wołdze i jest wyścigiem obu zespołów archaicznym parostatkiem, żaglowcem, motorówką, czym się da. Daje to okazję do zilustrowania tego komicznego pasma przygód pięknymi zdjęciami regionalnymi. Rzeka jest najbardziej fotogenicznym bohaterem i daje szerokie i artystycznie potraktowane ramy. Poza tym, jak wspomniałem, groteska — sprzysiężenie martwych przedmiotów przeciw człowiekowi (ów parostatek jest najbardziej złośliwy) i bufonada dźwiękowo-muzyczna, ułatwiająca percepcję, tak że śmiech zwyczajny mimo woli przemienia się chwilami w tzw. śmiech homerycki.

Grają w licznym i dobrze wymustrowanym zespole Bywałowa, Iljinski, „Strzałkę" — L. Orłowa.

**Marian Promiński**

# Polska współczesna

## PRODUKCJA, PRZYWÓZ I WYWÓZ

W grudniu 1945 roku produkcja **węgla kamiennego** wynosiła w Polsce 2 919 000 ton, wobec miesięcznej produkcji w roku 1938 — 3 175 000, **koksu** 191 000 ton, równo tyle, co w roku 1938. Do dużych osiągnięć doszła wytwórczość **szkła okiennego** — 3547 ton (w roku 1938 — 2124 tony), **saletry amonowej** 1243 tony (362 tony), **azotniaku** — 8521 (6697 ton) i **rud cynkowych użytkowych** — 32 000 ton (15 000). Także w **energii elektrycznej** zanotowano już nadwyżkę — 400 mil. kWh (319). Zbliżamy się do stanu z roku 1938 w produkcji **saletrzaku.** Wielka różnica między produkcją z końca 1945 r. a przedwojenną była w dziedzinie papieru, cynku surowego, cementu, soli kamiennej i warzonej, rudy żelaznej, ropy naftowej i benzyny.

Gdy w 1938 roku miesięczna produkcja **stali** wynosiła 120 000 ton, w grudniu 1945 roku osiągnęła 74 000 ton.

Wzrosła **liczba robotników** zatrudnionych w górnictwie — 180 000 (105 000) i hutnictwie — 65 000 (49 000).

Przez Gdynię i Gdańsk przywieziono do nas 35 244 tony rudy żelaznej w grudniu, w listopadzie 46 083 tony, gdy miesięczny przywóz w roku 1938 wynosił 47 644 tony. Bawełny przywieźliśmy więcej niż przeciętnie przed wojną, bo 8 554 tony (6 650 ton).

Węgiel i koks wywozimy do ZSRR, Szwecji, Finlandii, Danii, Norwegii (październik 1945). Przywoziliśmy śledzie, rudy, papier, wytwory pochodzenia roślinnego i zwierzęcego, surowce i przetwory włókiennicze, chemiczne i farmaceutyczne, środki transportowe, samochody, ropę naftową i benzynę, fosforyty i celulozę (wedle „Wiadomości Statystycznych", styczeń 1946, zeszyt 1).

**js**

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK.— Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.— Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 87 zł.
M — 19567 Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".